



RZECZPOSPOLITA

Dodatek specjalny

Rzecz o Historii

82

rocznica

wybuchu Powstania Warszawskiego



Więcej
o Powstaniu
Warszawskim
czytaj
na stronie
1944.rp.pl



M. MATYJASZEWSKI / MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

82

82. rocznica wybuchu
Powstania Warszawskiego

ORGANIZATOR  RZECZPOSPOLITA

PATRONATY HONOROWE  Muzeum
Powstania
Warszawskiego

 Prezydent
miasta stołecznego
Warszawy

PARTNER STRATEGICZNY  ORLEN

W numerze

- E3

Historia zakłęta w murach

Gazownia Warszawska jako miejsce cichego oporu, a elektrownie – pole walki.
- E4

1 sierpnia świętujemy wspólnotę

„Każdy może przyjść na plac Piłsudskiego i śpiewać powstańcze piosenki” – mówi Jan Oldakowski, dyr. Muzeum Powstania Warszawskiego.
- E5

Pocztowi bohaterowie w powstaniu

Ofiarność przedwojennych pocztowców oraz harcerzy pozwoliła skutecznie połączyć ze sobą mieszkańców stolicy.
- E6

Powstanie nie było skazane na klęskę

Wiele poszlak wskazuje, że вина za przedwczesny wybuch powstania leżała po stronie gen. Chruściela, płk. Rzepeckiego i premiera Mikołajczyka.
- E8

Wspomnienia i refleksje powstańca

W 2020 r. wywiadu udzielił nam kpt. Janusz Jakubowski, ps. Sokół, żołnierz Batalionu AK „Kiliński”.
- E9

Nie tylko strzelali

O zasługach powstańców na niwie ratowania przed zagładą i rabunkiem dóbr polskiej kultury.
- E10

„Leśni” w powstaniu

Partyzanci z Grupy „Kampinos” byli jedynym zgrupowaniem AK, które zdołało przyjść z pomocą walczącej Warszawie latem 1944 r.
- E11

Perfidne oszustwo Stalina

Rozkaz o wybuchu powstania poprzedziły wieści o postępie wojsk sowieckich.
- E12

Liczył się przede wszystkim człowiek

Krystyna Sierpińska, sanitariuszka Batalionu AK „Kiliński”, 26 stycznia tego roku odeszła na wieczną wartę.
- E13

Krzywdy trzeba naprawić!

Powstanie Warszawskie jedynie w pierwszych dniach wzbudziło zainteresowanie światowej opinii publicznej.
- E14

Puste niebo nad Warszawą

Churchill i Roosevelt mogli zorganizować skuteczną pomoc lotniczą dla powstania.
- E16

Konspiracyjny przemysł zbrojeniowy Polski Podziemnej

Polski ruch oporu stworzył największy w okupowanej Europie system konspiracyjnej produkcji broni i sprzętu.
- E18

Motocyklem na barykady

Rozmowa z por. Romualdem Malinowskim (1929–2023), z Batalionu AK „Kiliński”.

DZIEDZICTWO POKOLEŃ

Powstanie Warszawskie – cena wolności, testament pokoju



PAWEŁ ŁEPKOWSKI

Odkąd pamiętam, w moim domu rodzinnym Powstanie Warszawskie było niczym stały i bardzo szanowany członek rodziny, który zawsze zajmował u szczytu stołu niewidzialne krzesło.

Powstanie „przechodziło” przez każde imieniny, wsiąkało w wigilijny opłatek i niedzielny rosół, niezależnie od tego, czy spędzałem z rodzicami ten czas u jednego czy u drugich dziadków. Rozmowy o lecie 1944 r. nie były jedynie zbiorem oderwanych wspomnień z walczącego Mokotowa, Starego Miasta, Żoliborza czy Woli. Były wspólnym odziedziczonym oddechem, rodzajem podskórniego cienia, który kładł się na każdym naszym spotkaniu.

Spoglądałem na moich dziadków, ich rodzeństwo, kuzynów i przyjaciół jak nieustannie mieszają wspomnienia radosne i bardzo smutne. Wybuchali śmiechem, czasami coś podśpiewywali. Ale nagle potrafiła też zapanować przesywająca cisza. Babcia wstawała i wychodziła do kuchni, gdzie widziałem, że wyciera łzy z oczu. Dziadek błdził spojrzeniem po pustej ścianie, najwyraźniej nie potrafiąc się wyrwać z labiryntu bolesnych wspomnień. Drugi, ten od strony ojca, w takich chwilach nerwowo i gwałtownie skręcał na bezpieczniejsze tory rozmowy.

Kiedys, jak to bywa u niewiele rozumiejących dzieci, zapytałem go, ilu zabił Niemców. Stary człowiek spojrzał na mnie lodowatym wzrokiem. Mimo że kulał – to była jego pamiętka po powstaniu – raptownie wstał z fotela i z nieskrywanym gniewem rzucił w moim kierunku: „takich pytań nigdy i nikomu się nie zadaje!”.

Wtedy prawie obraziłem się na niego. Byłem maluchem. Jak mogłem zrozumieć jego emocje? Prawdopodobnie nadal ich nie rozumiem. Podobnie na takie pytanie zareagował brat mojej babci, porucznik Władysław Jasiński, ps. Topór, który jako zastępca dowódcy WSOP 1 Rejonu Żoliborz, a następnie zastępca dowódcy 206. Plutonu Zgrupowania „Żagłowiec”, jako jeden z nielicznych oficerów odmówił wykonania rozkazu opuszczenia Żoliborza, wydanego 1 sierpnia przez ppłk. Mieczysława Niedzielskiego „Żywiciela”. Mimo to żałuję teraz po latach, że z uporem nie zadawałem pytań, nawet tych trudnych. A było komu. W domu moich dziadków Łepkowskich bywali bowiem ciekawi ludzie, oficerowie, pisarze, artyści, w tym m.in.: Stefan Wiechecki „Wiech”, Ludwik Sempoliński, Kazimierz Krukowski „Lopek” (mój ojciec był przez pewien czas jego asystentem w Telewizji Polskiej). Co prawda, dwaj ostatni nie byli w Warszawie podczas powstania, ale wzmacniali obraz tamtych czasów z innej perspektywy.

Rozmowy o powstaniu zawsze wiązały się z trudnymi wspomnieniami. Innym razem zapytałem babcię Irenkę, mamę mojej mamy, jak zdołała przeżyć ostrzał snajperski, kiedy pomiędzy barykadami, wśród zwłok sąsiadów biegła do kościoła na Placu Trzech Krzyży, by wypowiadać się przed śmiercią, której spodziewała się w każdej chwili. Biedna chciała odpowiedzieć, ale głos jej się załamał, popłynęły łzy, a wyraźnie wzburzony dziadek szepnął mi do ucha: „zmień temat!”. Kiedy próbowałem się przebić przez ten cień ich wspomnień, by ujrzeć żywego człowieka w obliczu takiej tragedii jak śmierć miasta i exodus przez obóz w Pruszkowie, rozumiałem, że to praktycznie niemożliwe. To można jedynie przeżyć. Część traumy spycha się w najdalsze zakamarki pamięci, aby jakoś żyć dalej. Mimo to czuję, że nie zadałem wielu pytań, póki byli wśród nas. Wiele lat później, w którąś Wigilię Bożego Narodzenia, wybrałem się z tatą, by odwie-

dzić grób dziadków. Nie zapomnę jego słów: „Spójrz, tu leżą ludzie, którym wojna bezpowrotnie wydarła młodość i prawo do szczęścia. Ale przeżyli, cieszyli się dalej życiem i mieli szczęście ujrzeć, jak ich miasto zmartwychwstaje”.

Lata minęły i kiedy sam żegnałem ojca w 2020 r., poprosiłem moich synów, by po pogrzebie na chwilę zostali ze mną nad grobem ich dziadka. „Popatrzcie na ten kamień – powiedziałem obejmując ich. – Tu spoczywa człowiek prawdziwie szczęśliwy. Nie dlatego, że był bogaty lub sławny, ale dlatego, że jako urodzony w 1946 r. nie poznał złowieszczych świstów bomb spadających na dom rodzinny, nie wdychał dusznego pyłu piwnicznych schronów ani nie poczuł grobowego chłodu karabinowej stali. Jego wspomnienia z dzieciństwa były wypełnione widokiem ruin, ale widział też to miasto z dumą odżywające. Choć nosił polski mundur wojskowy w czasie służby zasadniczej, jego dłoń nie musiała szukać spustu, by zabić drugiego człowieka. I to jest przesłanie dla was i tych, którzy przyjdą po was: oby moje, wasze i następne pokolenia miały takie życie, w którym nigdy nie będą musiały uczyć się od nowa wojny”. Bo jak przypominał nam święty Jan Paweł II: „wojna nie ma zwycięzców, jest ostateczną klęską człowieka”.

Powstanie Warszawskie to dumna karta naszej historii. W jego nieustannym cieniu żyli ci, którzy ocalili. Ich trauma jest dziedziczona przez kolejne pokolenia. Tak jest w całej Polsce. Ślężacy wspominają swoje trzy powstania. Wielkopolanie z dumą chwalą się zwycięską insurekcją. Na terenach niegdyś wchodzących w skład zaboru rosyjskiego tli się pamięć o powstaniach listopadowym i styczniowym. Ale czas powstań i kolejnych pokoleń młodych ludzi ginących na barykadach musi się wreszcie skończyć. Czas, by w przyszłości bohaterami naszego kraju byli naukowcy, przedsiębiorcy, sportowcy, nauczyciele, lekarze czy po prostu uczciwie pracujący ludzie.

Naszym obowiązkiem jest sprawić, by nasze narodowe insurekcje stały się wyłącznie dumnym wspomnieniem. Dzięki tym, którzy oddali swoje życie, mamy wielkie szczęście żyć w wolnym, pięknym i bogatym kraju. To nie tylko przywilej, ale szczególne zobowiązanie. Należymy do powojennego pokolenia urodzonego w czepku, które od kilku dekad nie musi już chwycić za broń. Liczymy, że sprawne państwo, mądry rząd i silna armia, na które ofiarniełożyliśmy w podatkach, zabezpieczą nasz dobrobyt. Nie oznacza to, że rejerujemy: jeżeli przyjdzie znowu stanąć w szeregi lub iść na barykady – zrobimy to ponownie. Ale nauczeni bolesnymi doświadczeniami historii wiemy jedno: potrzebujemy potężnych defensywnych sił zbrojnych. Takich, które odstraszą każdego wroga. Takich, które będą wspierane przez potężnych sojuszników, żeby nie popełniać błędów sojuszy z 1939 r. Takich, które następnym razem osłonią każdy centymetr polskiej ziemi każdym rodzajem broni, w tym także niekonwencjonalnej, by już nigdy żaden Polak – jak moja babcia biegnąca pod ostrzałem niemieckiego snajpera na Placu Trzech Krzyży – nie był celem barbarzyńców.

Pamięć o Powstaniu Warszawskim musi trwać wiecznie, ale żadne dziecko nie może już trafić na barykady przeciwko czołgom. Przyszłość to pokój w zamożnej, zjednoczonej i pojednanej Europie. Jednak żeby to zapewnić, musimy pielegnować wolność i demokrację. Nieustannie surowo rozliczajmy tych, którym oddaliśmy mandat władzy. Patrzmy im na ręce, surowo piętnujmy pasożytnictwo, nepotyzm, partyjniactwo, kolesiostwo i łapówkarstwo. Nie ma ludzi niezastąpionych i jedynie słusznych kierunków ideologicznych. Liczą się tylko przywódcy skuteczni i kierujący się wyłącznie polskim interesem narodowym.

/©©

LEKcja HISTORII

Nauczyliśmy się tym mitem żyć



BOGUSŁAW CHRABOTA

Powstanie Warszawskie jako lekcja. Jako wyzwanie w myśleniu o współczesnej Polsce i jej dobru. Chciałbym, by tak je postrzegano.

200 tysięcy ofiar wśród ludności cywilnej, do 20 tysięcy zabitych powstańców, 85 proc. zniszczonej zabudowy lewobrzeżnej Warszawy, wygnane półmilionowe miasto przed tym jak systematycznie palono i burzono jego substancję; to suche liczby, które, gdyby posłużyć się tylko nimi, o Powstaniu Warszawskim mówią niewiele albo prawie nic. I kierują naszą perspektywę rozumienia jego fenomenu wyłącznie w stronę logiki straty. Tak, takie myślenie też jest uzasadnione. Doskonale pasują do niego stereotypy o nieodpowiedzialnych dowódcach, heroicznej, ale pochopnej młodzieży, gorących głowach i absurdalnych decyzjach, by z garścią stenów rwać się do walki z uzbrojonymi w broń pancerną i lotnictwo Niemcami. Wtedy – w takim myśleniu – zryw trzeba uznać za niewybaczalną stratę, a może nawet zawinioną – bądź nie – zbrodnię na narodzie polskim. Czy w istocie taki punkt widzenia musi wygrać?

Po drugiej stronie jest logika determinizmu historii, wedle której bywają zdarzenia nieuniknione, które musiały się wydarzyć, bez których historia nie miałaby sensu. Troja musiała upaść, Jerozolima spłonąć, Kartagina zostać zmieciona z powierzchni ziemi. Hannibal musiał przegrać, Aleksander zostać zatrzymany w swym pędzie do podboju całego świata. A przyszłość Rzymu nie mogła się obejść bez sztyletów, które wykrwawiły w idy marcowe Juliusza Cezara. Czy Powstanie Warszawskie nie jest aby ogniem takiego łańcucha

koniecznych zdarzeń, by historia – nasza historia – miała sens? Straciliśmy wielkie miasto i całe pokolenie, ale zyskaliśmy potężny mit. Mit tak ogromny, że nawet najwięksi prześmiewcy polskiej literatury bali się go tykać. Kilka lat temu próbowałem znaleźć u Gombrowicza jakiś ironiczny czy sarkastyczny fragment o powstaniu. Nie znalazłem. Nawet on, którego literacką misją było obalanie polskich mitów, upadku Warszawy tknąć się nie ośmielił. Może dlatego, że zreiterował? Przesiadywał w bezpiecznych kawiarniach Buenos Aires, kiedy na barykadach Warszawy ginęli jego rówieśnicy. Czy miał poczucie winy? Pewnie jakieś miał. Czasem zastanawiam się, jak wyglądałaby Polska, Warszawa, kultura, której jesteśmy dziedzicami, gdyby do powstania nie doszło. Gdyby przeżyli: Baczyński, Gajcy, mniej lub bardziej anonimowi dla współczesnych poeci, pisarze, inżynierowie, architekci, prawnicy; młoda polska elita kształcona na tajnych kompletach i w podziemnych uniwersytetach. Brakuje mi wyobraźni, by zilustrować, co mogłoby do wspólnego dorobku wnieść, jakie dzieła stworzyć. O ile bylibyśmy bogatsi jako Polska, Polacy. Ale nie jest też prawdą, że po powstaniu zostały tylko popioły. Jest bowiem nasza pamięć; siła tego niezwyklego mitu, która co roku skłania nas do rozpamiętywania zrywu. Czyż to nie jest aby jeden z silników polskiego patriotyzmu? Punkt odniesienia dla pokoleń, który pozwala zdefiniować nas samych? Skłania nas do myślenia o strategicznych wyborach, treści racji stanu, o tym, co powinniśmy robić, jak kształtować polską państwowość, by dramat powstania się nie powtórzył.

Powstanie Warszawskie jako lekcja. Jako wyzwanie w myśleniu o współczesnej Polsce i jej dobru. Chciałbym, by tak je postrzegano. Bo tylko tak ta straszna historia bez happy endu przestanie być tylko historycznym obciążeniem i będzie nam służyć.

/©©

MIEJSCA PAMIĘCI

Historia zaklęta w murach

Warszawa ma za sobą trudną historię. W czasie wojny miasto zostało doszczętnie zniszczone, a Powstanie Warszawskie było jednym z najdramatyczniejszych momentów w życiu stolicy.



MATERIAŁ POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY Z ORLEN

Zbombardowano stołeczne budynki, zabytkowe kościoły i pałace, ulice tonęły w gruzach. Zgrabiono najcenniejsze obiekty historyczne. Dopuszczono się niewyobrażalnych aktów przemocy. Nie zdołano jednak zniszczyć ducha Polaków.

W Warszawie każda ulica, każdy zaułek ma swoją własną dramatyczną historię. Te dramatyczne opowieści są też udziałem obiektów związanych dziś z Grupą ORLEN.

Reduta Bank Polski – miesiąc dramatycznych walk

Na działce przy ul. Bielańskiej, gdzie dziś znajduje się siedziba ORLENU i pozostałości budynku Reduty, w XVIII w. działała mennica króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Wiele lat później, na początku XX w., wniesiono tu monumentalny gmach, gdzie siedzibę miały instytucje finansowe rosyjskiego zaborcy. Gdy Polska odzyskała niepodległość, w obiekcie uruchomiono Polską Krajową Kasę Pożyczkową, a niedługo potem, w 1926 r., Bank Polski.

Przed wojną ulica Bielańska tętniła życiem. Znajdowały się tu eleganckie sklepy i punkty usługowe. Wojna zmieniła wszystko. Już we wrześniu 1939 r. niemieckie bombardowania zniszczyły znaczną część tutejszej zabudowy. Podczas okupacji działała w budynku placówka niemieckiego Banku Emisyjnego. Część jego pracowników wspierała podziemie. Przekazywali Armii Krajowej istotne informacje, jak ta o planowanym transporcie pieniędzy z Banku Polskiego na Dworzec Wschodni. W sierpniu 1943 r. Armia Krajowa zaatakowała niemiecki konwój, przejmując ponad 100 mln zł. Tę brawurową operację nazwano „Akcja Góral” lub „Akcja na sto milionów”.

Rok później budynek był już miejscem dramatycznych walk. Po wybuchu Powstania Warszawskiego, 3 sierpnia 1944 r., został zajęty przez Żołnierzy Armii Krajowej, którzy za jego murami przez cztery tygodnie bronili się przed Niemcami. Wróg próbował wdrzeć się do środka gmachu, ale bezskutecznie. Walki w tym miejscu powstrzymywały atak Niemców na Starówkę od południowego zachodu, miały więc znaczenie strategiczne. Polacy utrzymali kontrolę nad Redutą aż do 1 września 1944 r. Wtedy to ostatni obrońcy opuścili budynek, schodząc do kanałów. Zniszczony fragment elewacji, na którym widać liczne ślady po pociskach, przypomina o trudnych wojennych chwilach. To żywa lekcja historii, o której stale należy pamiętać.

Gazownia Warszawska, miejsce cichego oporu

Pierwsze gazowe latarnie zapłonęły na warszawskich ulicach w 1856 r. Później niż na Zachodzie, bo i sytuacja polityczna w Warszawie była inna – miasto pozostawało pod wpływem Rosji, w dodatku po Powstaniu Listopadowym nasiliły się represje względem Polaków. Nie było warunków, by myśleć o postępie technicznym. Dopiero w 1856 r. podpisana została z Niemieckim Kontynentalnym Towarzystwem Gazowym w Dessau umowa koncesyjna na budowę gazowni i w ten sposób powstał zakład przy ul. Ludnej na Powiślu. W latach 1886–1888 zbudowano znacznie większą gazownię przy ul. Dworskiej (obecna ul. Marcina Kasprzaka).

Gazownia Warszawska była przed wojną jednym z największych zakładów przemysłowych na Woli. Miała kluczowe znaczenie dla stolicy, dostarczała gaz do dużej części miasta. Niemcy, wiedząc o tym, postawili sobie za cel zniszczenie tutejszej infrastruktury. Rozpoczęli naloty, w wyniku których doszło do uszkodzeń gazociągów w blisko czterech tysiącach punktów. Zakład przestał pracować. Po miesiącu nakazali ponowne jego uruchomienie, by okupowane miasto mogło funkcjonować. Konieczna była naprawa sieci. Pracownicy podjęli się odtworzenia infrastruktury, ale wymogli na Niemcach, by kierownictwo gazowni pozostało w polskich rękach. Tak też się stało.

Gazownia działała, stając się jednocześnie miejscem cichego oporu polskiej ludności. Pracownicy sabotowali produkcję, obniżali wydajność zakładu i pozyskiwali komponenty, które były przydatne dla grup konspiracyjnych. W utworzonej tu podziemnej organizacji powstały

Współczesny widok na teren dawnej **Gazowni Warszawskiej** przy ul. M. Kasprzaka 25**Elektrociepłownia Żerań** w Warszawie należąca do ORLEN Termika

plutony saperskie. Wśród akcji, jakie przeprowadzili, było m.in. uszkodzenie gazociągu, który doprowadzał gaz do niemieckiej fabryki broni w Ursusie. Pomagano też mieszkańcom getta. Z terenu gazowni żołnierz AK Karol Fuchs, który sam miał żydowskie korzenie, w uniformie pracownika technicznego przewoził za mur żywność, a nawet ratował ludzi, wwoząc ich na teren zakładu.

Wybuch powstania wiał w serca ludzi nadzieję, ale sytuacja szybko stała się dramatyczna. Dwa dni po rozpoczęciu walk Niemcy zdobyli mniejszą gazownię, która znajdowała się na ul. Ludnej. Zakład na Woli pozostawał cały czas w polskich rękach. W tym czasie mocno zasłużył się inżynier Wacław Sobierański, który opracował plan ratunku dla ludności cywilnej. Ponad 630 osób ukrywało się w podziemiach gazowni, w tym pod aparaturą, między spletanymi rurami. Zgromadzono tam również broń, amunicję i materiały wybuchowe. Gdy 8 sierpnia niemieccy żołnierze wkroczyli na teren zakładu z rozkazem natychmiastowej ewakuacji, Sobierański zachował zimną krew. Odmówił wykonania rozkazu, argumentując, że gazownia pracuje na potrzeby Wehrmachtu i podlega decyzjom oficerskim. Zaskoczeni Niemcy wycofali się, choć nie na długo.

Gazownia została zamknięta 22 września 1944 r. Maszyny zdemontowano i wywieziono do Rzeszy. Na szczęście nie wysadzono samych budynków – zdecydowano, że będą służyć jako punkt dezynfekcji dla niemieckich oddziałów. Gazownia wznowiła produkcję dziewięć miesięcy później, zaraz po wojnie – w czerwcu 1945 r.

Elektrownie polem walki

W czasie Powstania Warszawskiego walki toczyły się również, między innymi, na terenie

Elektrowni Warszawskiej na Powiślu i Elektrowni Pruszkowskiej.

Na Powiślu ponad setka osób broniła się przed Niemcami od godziny „W” aż do 7 września 1944 r. Jeszcze przed wybuchem powstania w stołecznej elektrowni gromadzono broń, ukrywano sprzęt i przeprowadzano ćwiczenia wojskowe. W pierwszych dniach buntu elektrownia została zdobyta przez oddział Wojskowej Służby Ochrony Powstania dowodzony przez kpt. Stanisława Skibniewskiego „Cubrynę”. Walczący utrzymali pozycję, mimo braków w uzbrojeniu i liczebnej przewagi wroga. Zakład zasilal w tym czasie szpitale, piekarnie, warsztaty, drukarnie, łączność i punkty dowodzenia.

2 września nastąpiła klęska Starego Miasta. Powstańcy kanałami przemieszczali się ze Starówki do Śródmieścia. Do elektrowni trafił mjr Stanisław Błaszczak „Róg” i objął tu dowództwo. Ze względu na kluczową rolę zakładu, miał on być broniiony wszelkimi dostępnymi środkami i siłami. Niemcy ostrzeliwali w tym czasie dzielnicę i przeprowadzali naloty z powietrza. Następnie do gry wkroczyły siły pancerne i piechota. W rejonie ulic Karowej i Dobrej doszło do ciężkich starć, w których Zgrupowanie „Elektrownia” poniosło dotkliwe straty.

4 września samoloty zaczęły zrzucać bomby na sam zakład. Była godzina 7:00. Tak wspominał ten czas pracownik elektrowni Antoni Nowakowski „Gryf”: „Usłyszałem warkot silników samolotowych [...]. Warkot zbliżał się i nagle przekształcił się w wycie pikujących maszyn. Potem jeden wybuch, drugi, trzeci i bardzo blisko, a w końcu wycie tuż nad głową, a raczej nad spawalnią. [...] Pierwsze bomby padły na nastawnię, serce Elektrowni, znosząc ją z powierzchni ziemi wraz z dwoma ludźmi, którzy ją obsługiwali. Następnie trafiły w salę maszyn, niszcząc turbogeneratory.

ORLEN AKCJE SPOŁECZNE

Pracownicy ORLENU wraz ze swoimi dziećmi wzięli udział w wyjątkowej akcji wolontariackiej.

W związku z rocznicą wybuchu Powstania Warszawskiego wspólnie porządkowali groby powstańców na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach, oddając cześć i kultywując pamięć o osobach, które walczyły o wolność Polski.

W obchody włączył się też ORLEN Upstream Polska jako partner jubileuszowej, 20. edycji koncertu „Warszawiacy śpiewają (nie)zakazane piosenki”, organizowanego przez Muzeum Powstania Warszawskiego. To wydarzenie od lat gromadzi tysiące osób, które wspólnie oddają hołd bohaterom Powstania.

W inną akcję organizowaną przez Muzeum Powstania Warszawskiego, włączyło się prowadzone przez Fundację ORLEN im. I. Łukasiewicza Muzeum Gazowni Warszawskiej. Dołączając do projektu „Labirynt 44”, muzeum stało się tłem dla tegorocznej gry miejskiej, która upamiętnia cywilnych bohaterów tamtych dni. Aby pomyślnie ukończyć trasę, gracze musieli wykazać się sprytem i zmierzyć z przygotowanymi na miejscu łamigłówkami. Wydarzenie przebiegło w pełnej zaangażowania atmosferze, połączyło aktywną zabawę z piękną lekcją patriotyzmu i pamięci o historii miasta.

Partnerem wszystkich wydarzeń organizowanych przez Muzeum Powstania Warszawskiego w ramach obchodów rocznicy Powstania Warszawskiego od lat pozostaje ORLEN Termika – właściciel elektrociepłowni w Warszawie i Pruszkowie. W tym roku były to m.in. Masa Powstańcza, czyli symboliczny przejazd rowerowy szlakiem walk na Ochocie i Mokotowie, spektakle, wystawy plenerowe czy koncert Błażeja Króla i gości, związany z premierą płyty „Łączy nas...”.

**Reduta Bank Polski**, budynek przy ul. Bielańskiej z licznymi śladami po powstańczych walkach

Parę bomb gruchnęło w kotłownię, jedna duża padła na plac”. Elektrownia stanęła w płomieniach. 5 września o godzinie 15:00 padł rozkaz, by żołnierze wycofali się z terenu zakładu w stronę ul. Tamki.

Także Elektrownia Pruszkowska została doświadczona w czasie Powstania Warszawskiego. Zakład miał strategiczne znaczenie, bo zasilal znaczną część lewobrzeżnej Warszawy. Powstańcy oddział „Nenufar” złożony z 45 pracowników zdobył budynek, mimo że miał do dyspozycji zaledwie siedem pistoletów (w tym jeden automatyczny) i kilka granatów. „Tam stacjonowała grupa wermachtowców, Niemców, ale ze starszych roczników. Jak powstanie wybuchło, oni się dosyć łatwo [poddali], podnieśli ręce do góry. Ale dowódcy niemieccy dowiedzieli się, że elektrownia jest w rękach polskich. Otoczyli to wszystko i nasi musieli się poddać” – wspominał po latach Edward Besiński „Bohun”, harcerz Szarych Szeregów i Powstańiec Warszawski. Akcja pruszkowskich energetyków stała się symbolem determinacji ludzi, którzy podjęli walkę z okupantem.

Czas wojny to uniwersalna i żywa lekcja, z której kolejne pokolenia powinny wyciągać dojrzałe wnioski. Miasto, będące bezpośrednim świadkiem tamtych tragicznych wydarzeń, do dziś pielęgnuje w swojej przestrzeni bezcenne pamiątki i ślady przeszłości, od obrosłych historią murów po symboliczne miejsca pamięci. Szczególnie mocna jest ich wymowa dziś, gdy świat trzęsie się w posadach, a w samym środku Europy, w bezpośrednim sąsiedztwie Polski, trwa regularna wojna. Pamięć o dawnych tragediach przestała być jedynie wspomnieniem, stała się pilnym wezwaniem do obrony pokoju i odpowiedzialności za jutro.

ROZMOWA

1 sierpnia świętujemy wspólnotę

– W tym roku m.in. zaprezentujemy spektakl oparty na interpretacji poezji Anny Świrszczyńskiej i prozy Mirona Białoszewskiego – mówi **Jan Oldakowski**, dyrektor Muzeum Powstania Warszawskiego.

ESTERA FLIEGER

Rozmawiamy właściwie co roku. Czy po 22 latach nie odczuwa pan rutyny?

Nie, dlatego że zawsze nawiązujemy do tego, co aktualnie dzieje się na świecie. W Muzeum staramy się przekładać Powstanie Warszawskie na współczesny język. W tym sensie jesteśmy tłumaczami – opowiadamy o tym, co wydarzyło się 82 lata temu, najbardziej wymagającej grupie odbiorców, czyli współczesnym rówieśnikom ówczesnych powstańców. Rzeczywistość ich zaskakuje, czują się wręcz oszukani i rozzarowani, bo miało być inaczej; obawiają się też wojny.

Jak na przestrzeni dwóch dekad zmieniał się sposób opowiadania o Powstaniu Warszawskim?

Kiedy zaczynaliśmy, nie było rytuałów, które są dziś oczywiste – to m.in. mur z nazwiskami uczestników powstania i pomniki upamiętniające zamordowanych cywilów. Przy czym na samym początku akcent kładliśmy na marzenie o zwycięstwie, a cywile pojawili się w tej opowieści później. Z jednej strony więc opowiadamy o tym, że wartości, które reprezentowali sobą powstańcy, są ponadczasowe, z drugiej – zaczęliśmy pokazywać zniszczenie miasta, ofiarę jego cywilnych mieszkańców. Zmienił się również kontekst – z mitycznej przeszłości na współczesne doświadczenie.

Co to znaczy?

Wraz z rozpoczęciem pełnoskalowej agresji Rosji na Ukrainę dyskusja „Bić się, czy nie” przestała być teoretyczna. Rewizjoniści przekonywali, że w historii można było przecież dogadać się z silniejszym. Ale na własne oczy widziałem, że walka jest jedyną możliwością oczenia, kiedy na daną wspólnotę wydany został wyrok śmierci.

1 sierpnia na platformach społecznościowych widzę krytyczne komentarze – w tym przywołanych rewizjonistów – że ten dzień przybiera formę święta. To właściwe słowo? Rzeczywiście świętujemy?

1 sierpnia stał się dniem podobnym do 11 listopada czy 3 maja – w tym znaczeniu, że tego dnia świętujemy wspólnotę. A inaczej: ludzie manifestują wspólnotę i dlatego ten dzień jest świętem. Ci, którzy tego dnia są aktywni, nie wyobrażają sobie, że mogliby być osobno. Niepostrzeżenie 1 sierpnia stał się dniem aktywności zbiorowych. Bo obchodzimy tę rocznicę zbiorowo, razem z innymi. Reakcją na niemiecką okupację było zrobienie czegoś razem. Jest to więc święto wspólnoty ogólnonarodowej – i tych lokalnych. Nie znamy ludzi, z którymi zatrzymujemy się w Godzinę „W”. Natomiast mamy satysfakcję z tego, że robimy coś wspólnie. I jest to spuścizna Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej, dla których wspólnota otwarta na wszystkich odrzucających totalitarne praktyki nazistowskich Niemiec była bardzo ważna.

„Nie znamy ludzi, z którymi zatrzymujemy się w Godzinę „W”. Natomiast mamy satysfakcję z tego, że robimy coś wspólnie

Powstańcy powtarzają, że póki Polacy są razem, niestraszne im nawet klęski. Największą porażką, jaka mogłaby nas spotkać, byłoby przekonanie, że największym wrogiem Polaka jest drugi Polak.

Muzeum Powstania Warszawskiego romantyzuje tragiczną historię sprzed 82 lat? Błażej Król, który w tym roku wystąpi na koncercie organizowanym przez Muzeum i nagrał płytę „Łączy nas...”, mówił w mediach, że przystępując do projektu miał obawy, ponieważ „nie lubi romantyzowania wojny”.

Osobiście jestem przeciwnikiem romantyzowania historii – miejsce obrazu Polski jako Chrystusa narodów jest w literaturze, a nie w taktyce i strategii. Płyta Błażeja Króla jest

o lęku – artysta chce nawiązać dialog z młodymi odbiorcami, mając dylemat, bo na wojnę idzie się po to, by bronić bliskich sobie wartości, a jednocześnie odbiera ona dzieciństwo. Nie proponujemy ignorowania tego, że wojna ograbia z życia i człowieczeństwa. To prawda, śpiewamy piosenki, których teksty są zapisem ówczesnych emocji – przede wszystkim entuzjazm i nadzieję niż trwogę i zniszczenie.

Celem Powstania Warszawskiego była wolna Polska, zdefiniowana w dokumentach programowych – i miała to być Polska racjonalna, a nie romantyczna. Wchodząc na kolejny poziom – nasza refleksja historyczna nie jest romantyczna.

W tym roku zaprezentujemy m.in. spektakl oparty na interpretacji poezji Anny Świrszczyńskiej i prozy Mirona Białoszewskiego, który z jednej strony opisywał nieracjonalne spazmy wojny i nie rozumiał uczestników tych wydarzeń, a z drugiej budował barykadę. Myślę, że ludzie pytają samych siebie, jak by się zachowali. Pokazujemy, co uczestnikom Powstania Warszawskiego pozwalało przetrwać czy choć trochę lepiej znieść wszystko to, przez co musieli przejść. Staramy się skoncentrować w naszej opowieści na drugim człowieku.

Dużo mówi się dziś o odporności społecznej. A składają się na nią dwa elementy: wiara jednostki w instytucje państwa oraz wiara w sąsiada. Jeżeli jestem w stanie zrobić coś z drugim człowiekiem i spontanicznie obdarzyć go zaufaniem, bo jest członkiem tej samej wspólnoty, to będzie nas dużo trudniej przestraszyć i złamać. W jednym z amerykańskich serwisów poświęconych rezyliencji, przeczytałem scenariusz dla lokalnych NGO-sów: pracę nad odpornością mają zacząć od organizacji imprezy sąsiedzkiej. Chodzi o poznanie swoich umiejętności: kto jest kierowcą ciężarówki, a kto chirurgiem. W obliczu wojny, katastrofy naturalnej albo blackoutu zbudowanie relacji pozwoli zorganizować się i przeczekać np. do momentu, w którym wróci prąd. W razie wybuchu wojny nie wszyscy będziemy w partyzantce – to szkodliwy mit. Ale będziemy musieli przeżyć, a państwo i właściwie wykwalifikowane jednostki będą w tym czasie organizować opór. Rolą wspólnot sąsiedzkich w pierwszej kolejności będzie zapewnienie np. leków czy wody. I nie ma lepszego przykładu na wartość samoorganizacji niż Armia Krajowa, zwłaszcza w okresie Powstania Warszawskiego. I od ponad 20 lat w warunkach pokoju to pokazujemy.

A jak to wygląda w praktyce?

W tym roku organizujemy zlot siedmiu organizacji harcerskich. Nie było łatwo namówić ich liderów na to, że wszystko mają robić razem – to będą m.in. łączone patrole. Zresztą drużyny harcerskie są właściwie ostatnimi niemilitarnymi organizacjami, które na co dzień trenują wszystko to, co składa się na odporność społeczną. Ale wraz z rosnącym zagrożeniem wojną hybrydową, podobnie do Skandynawów, wszyscy

wszechniane przez agresora. I dlatego potrzebujemy ducha Armii Krajowej. Chodzi również o świadomość tego, że to, co mamy, wymaga troski. Jest co świętować – za mojego życia z szarej rzeczywistości stanu wojennego pokonałszy drogę, na końcu której średnia zarobków w Warszawie jest wyższa od średniej zarobków w Unii Europejskiej. Oczywiście, są obszary, gdzie ten warszawski poziom życia jest nieosiągalny. Nadal mamy jeszcze wiele do zrobienia. Dla Szwedów



MICHAŁ ZAJĄCZAKOWSKI/Muzeum Powstania Warszawskiego

„Wszystko, co robimy, jest masowe oraz inkluzywne. Każdy może przyjść na plac Piłsudskiego i śpiewać powstańcze piosenki

praca nad odpornością społeczną jest naturalna. Mamy skąd brać wzór – to Polskie Państwo Podziemne i Armia Krajowa, które działały inaczej niż my, pod presją tworząc uniwersalne wartości, o czym można przekonać się, czytając dokument programowy Rady Jedności Narodowej z 15 marca 1944 r. A znając jego treść, nie mogę się zgodzić na porównywanie AK i UPA.

Dlaczego?

UPA nie miała żadnego innego programu niż jednolitość etniczna w poszczególnych regionach, który wdrażała takimi a nie innymi metodami. W tym czasie PPP i AK przyjmowały program, który wyrażał ich zachodnie aspiracje – projektowane państwo miało być socjalne, demokratyczne, nowoczesne i sprawiedliwe. Jego autorzy myśleli o pokoju, a wojna była szczeblem na drabinie, którą musieli pokonać. Przemoc nie była dla nich celem samym w sobie. Wygranie wojny miało umożliwić powrót do normalności. AK była organizacją demokratyczną. Możemy wskazać pojedynczych jej członków, którym jesteśmy w stanie udowodnić czyny haniebne. Ale wśród metod AK nie było eksterminacji ani czystek etnicznych. Tamta Rzeczpospolita, jaka by wówczas nadeszła – jeśli tylko by się jej udało – dalej byłaby państwem wieloetnicznym. Dlatego porównania AK z UPA odbieram podobnie jak pomysł rewizjonistów historycznych na sojusz z III Rzeszą – to jest mniej więcej ten sam poziom dyskusji o historii.

Wszystko, co robimy, od początku jest masowe oraz inkluzywne. Każdy może przyjść na plac Piłsudskiego i śpiewać powstańcze piosenki albo wziąć udział w Masie Powstańczej, albo Marszu Pamięci dla ofiar cywilnych. I nie popadamy w rutynę, bo co roku uaktualniamy nasze propozycje

– każdorazowo zakładając się z losem o to, czy nasza komunikacja będzie skuteczna i dotrzemy do odbiorców.

Lubimy martyrologię? Bo 1 sierpnia znów wybrzmiały głosy, że my, Polacy, na tle innych narodów szczególnie czcimy klęski.

Powiedziałbym, że to zjawisko marginalne. Natomiast jesteśmy narodem historycznym, bo źródło naszych społecznych wartości jest w historii. Muzeum Powstania Warszawskiego ma za zadanie opowiedzieć o potrzebnych społeczeństwu wartościach, wychodząc od klęski – i jest to bardzo trudne. Ale uczy odpowiedzialności. Lekcja, którą Solidarności w Stocznii Gdańskiej dał mecenas Andrzej Trzeciakowski, powstaniec, to samoorganizacja, ale nie konfrontacja z tak silnym przeciwnikiem. Źródłem naszych wartości jest to, jak zachowaliśmy się w XX w. Patrząc na naszych sąsiadów w europejskiej wspólnotie, nasz los polega na tym, że musimy coś udowodniać, choć nasze historyczne winy były znikome w porównaniu z wszystkimi tymi, którzy np. współpracowali z Niemcami. Polskie Państwo Podziemne było demokratyczne i nowoczesne w myśleniu – w 1944 r. postulowało reformę rolną i rady zakładowe w fabrykach.

Polaków definiuje przede wszystkim stosunek do totalitaryzmów. Tym zaś, co nas kształtuje, jest opór wobec nich. Dowodzą tego: Armia Krajowa, Powstanie Warszawskie, Solidarność. Nie potrafimy przekształcić się w naród ahistoryczny.

Po herbertowsku.

„Rów w którym płynie mętna rzeka / nazywam Wisłą. Ciężko wyznać: / na taką miłość nas skazali / taką przebodli nas ojczyzną...”. To nie jest martyrologia, to historyczność. Żyjemy tamtymi ludźmi, ich historiami i postawami. Obyśmy nigdy nie musieli tego powtarzać. I właśnie dlatego potrzebujemy zbudować odporność społeczną. Chodzi również o to, by nie było jak na rysunku Andrzeja Mleczki, gdzie Krzyżacy obserwują okładających się Polaków, mówiąc: „Zaczeli bez nas”.

Poznajmy więc sąsiada i dowiedzmy się, czy i co możemy zrobić razem w kryzysie. Wojna hybrydowa nie będzie polegać na tym, że na ulicach pojawiają się czołgi. Niebezpieczna będzie panika. Jeśli łatwo uwierzymy w takich okolicznościach, że upadnie rząd, to będzie oznaczało, że nie odrobiliśmy historycznej lekcji. Polska nigdy się nie poddaje – to nasza lekcja na realia niespokojnych czasów.

Jak w pana ocenie wypada 15 sierpnia? Na początku nie wszyscy politycy byli przekonani do pomysłu parady wojskowej, ale władza się zmieniła, a rytuał pozostał.

Polacy zinternalizowali, że obowiązkiem państwa jest obrona własnych obywateli. Sprawna armia to działania odstraszające. I bynajmniej nie chodzi o militaryzację czy wytwarzanie złudzenia, że jesteśmy potęgą.

Czyli patrzący na nich wcześniej z plakatów marszałek Edward Rydz-Śmigły i hasło „Zwarcie, silni i gotowi”...

W pamiątkach brata mojej babci znalazło się wspomnienie rozmowy – był już zmobilizowany, w przededniu wybuchu wojny kolega żołnierz powiedział mu, że liczy na to, iż rzeczywiście ona się zacznie, bo chciałby zobaczyć Berlin. Dziś wiemy, jak bardzo to było naiwne... Zwykły obywatel nie musi walczyć, bo w jego imieniu robić to będą przygotowani i właściwie wyposażeni żołnierze. Ale zadaniem obywatela także będzie walka, tylko innego rodzaju. Przykład Ukrainy pokazuje, że każdy może pomagać, np. zaplatając siatkę maskującą, a siłą jest wspólnota i samoorganizacja. Grunt to mieć poczucie, że działa się razem.

Państwo powinno wspierać budowę szacunku do samoorganizacji – ona nie jest działaniem wymierzonym w państwo, ale je wzmacniającym. OSP, koła gospodyń wiejskich, wspólnoty religijne, stowarzyszenia i wszelkiego rodzaju kluby nie są konkurencją dla państwa, bo silne państwo ma wiele takich organizacji. Kiedy będziemy razem, nic nas nie złamie.

MATERIAŁ PARTNERA POCZTA POLSKA



Skrzynka Harcerskiej Poczty Polowej przy ul. Górskiego 10

Pocztowi bohaterowie w Powstaniu Warszawskim

Gdy Ojczyzna wezwała, nie wahali się ani chwili. Ofiarność i poświęcenie przedwojennych pocztowców oraz harcerzy pozwoliły skutecznie połączyć ze sobą mieszkańców stolicy podczas Powstania Warszawskiego. Pamiętajmy o nich, gdy zawyją syreny.

Nie ma państwa bez sprawnej komunikacji – właśnie z tego założenia wyszli architekci polskiej niepodległości w roku 1918, reaktywując działania państwowej poczty. Od tego czasu instytucja ta odbudowywała łączność między zrastającymi się fragmentami państwa, zaś Pocztowcy walnie przyczynili się do położenia podwalin pod funkcjonowanie II Rzeczypospolitej.

Po inwazji niemieckiej we wrześniu 1939 roku III Rzesza zagarnęła majątek Poczty Polskiej, powołując Niemiecką Poczte Wschód (Deutsche Post Osten). Wprowadzono ścisłą cenzurę. Ciągłość dawnej Poczty Polskiej zachowano jednak na emigracji, pod auspicjami władz RP na uchodźstwie. Na terenach okupowanych przedwojenni Pocztowcy włączyli się w działalność konspiracyjną, rozwijając sieć podziemnej łączności.

Pocztowcy od pierwszych chwil wybuchu powstania byli w nie zaangażowani. Już 6 sierpnia powołano Harcerską Poczte Polową, pozostającą w ścisłym związku z Poczta Polową Armii Krajowej. Ofiarność młodych ludzi pozwoliła na odtworzenie łączności między dzielnicami stolicy – również cywile mieli możliwość wysyłania wiadomości. Warszawiacy musieli być jednak oszczędni w słowach – cała treść korespondencji nie mogła początkowo przekraczać 25 słów. Ogromny wkład w utrzymanie łączności w stolicy mieli „Zawiszczy”, najmłodsi harcerze.

Poczta Polową Armii Krajowej w trakcie powstania kierował wieloletni pocztowiec i łącz-

nościowiec, major Maksymilian Broszkiewicz ps. „Embicz”. Major przeżył powstanie i zmarł w zaawansowanym wieku 85 lat w styczniu 1971 roku w Łodzi. Główny urząd Poczty Powstańczej zlokalizowano przy ulicy Świętokrzyskiej 28. Oprócz niego powołano także siedem innych urzędów pocztowych: przy ulicy Szpitalnej, Wilczej, Placu Napoleona (czyli dzisiejszym Placu Powstańców Warszawy), Złotej, Okólnik, Czerniakowskiej oraz Tynieckiej. Harcerska Poczta Polowa została włączona w struktury Poczty Polowej AK w końcu sierpnia.

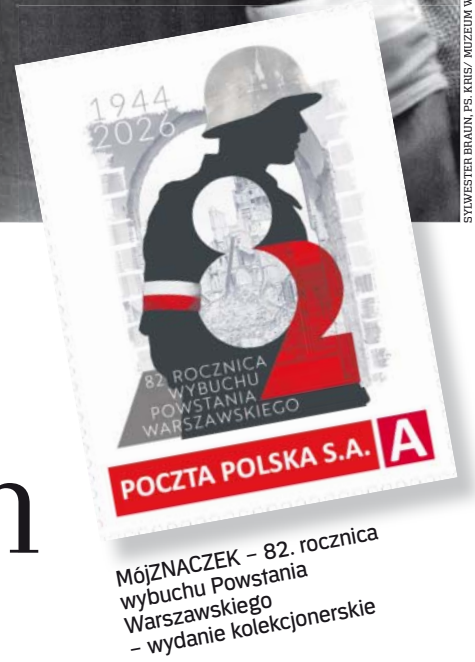
Część z przedwojennych Pocztowców walczyła z bronią w rękę i z bronią w rękę ginęło w trakcie powstania. Pracownicy Poczty znaleźli się m.in. w batalionach „Zaremba”, „Bałtyk”, zgrupowaniach „Chrobry II”, „Kryska” czy „Konrad”. Część z nich trafiła po upadku powstania do niewoli. Część, jak listonosz Bronisław Piotrowski lub telefonistka Jadwiga Poboży, poległa żołnierską śmiercią.

Nie zachowały się dane, na podstawie których można by stwierdzić z całą pewnością, ile powstańczych przesylek przenieśli harcerze i Pocztowcy, przyjmuje się jednak, że było to około 6 tysięcy listów dziennie, co daje około 200 tysięcy w trakcie całego powstania. Po jego upadku, wielu Pocztowców i harcerzy trafiło do niemieckiej niewoli. Część z tych, którzy przetrwali, podjęła pracę przy odbudowie łączności i poczty w zrujnowanej wojną Polsce.

W przygotowaniu artykułu wykorzystano materiały Archiwum Poczty Polskiej S.A.



Na skrzynce naklejono instrukcję, jak adresować i wysłać listy



1 SIERPNI 1944

Powstanie nie było

Współczesna historiografia winą za przedwczesny wybuch Powstania Warszawskiego obciąża głównie generałów Okulickiego i Pelczyńskiego. Wiele poszlak wskazuje, że winą leżała też po stronie gen. Chruściela, płk. Rzepeckiego i premiera Mikołajczyka. Ten ostatni powiedział Mołotowowi o szykowanym zrywie.



Gen. Leopold Okulicki (1898–1946), ps. Niedźwiadek, Kobra



Gen. Tadeusz Pelczyński (1892–1985), ps. Grzegorz

HUBERT KOZIEL

Generał Leopold Okulicki nie miał w ostatnich latach „dobrej prasy”. Ów zasłużony oficer, który wyróżniał się zarówno na polach bitew, w sztabach, jak i w konspiracji, bywa nazywany „wojskowym dyletantem”. Choć zginął w moskiewskim więzieniu, a prominentny funkcjonariusz sowieckiej bezpieki gen. Iwan Sierow uznawał go za groźnego przeciwnika („Wywarł na mnie wrażenie mądrego i dobrego, kompetentnego pracownika wywiadu” – pisał Sierow w swoich wspomnieniach), to obecnie robi się z Okulickiego „ruskiego agenta”, który sprowokował „warszawską rzeź”. Przedstawia się go również jako człowieka, który wspólnie z gen. Tadeuszem Pelczyńskim, szefem Sztabu Komendy Głównej Armii Krajowej, parł do wybuchu powstania w Warszawie, nie licząc się z uwarunkowaniami strategicznymi. Pelczyński i Okulicki mieli mocno naciskać na gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego, komendanta głównego AK, aby dał rozkaz do rozpoczęcia insurekcji. Okulicki miał nawet grozić „Borowi”, że jeśli nie zarządzi zrywu, to spotka go los skompromitowanego w powstaniu listopadowym gen. Jana Skrzyneckiego. Wielu ludzi wierzy w tę narrację, choć jest ona oparta głównie na konfabulacjach jednego „świadka”, którego nie było na ostatniej przed Godziną „W” naradzie Komendy Głównej AK. Prawda o okolicznościach rozpoczęcia warszawskiego zrywu była oczywiście o wiele ciekawsza od tych dezinformacyjnych historyjek.

Kłopotliwa relacja płk. Janusza Bokszczanina

Narracja obwiniająca Okulickiego i Pelczyńskiego o dążenie do wybuchu powstania „za wszelką cenę” jest w dużym stopniu dziełem prof. Jana Ciechanowskiego, który przedstawił ją w swojej książce „Powstanie Warszawskie:

zarys podłoża politycznego i dyplomatycznego”, wydanej po raz pierwszy w 1971 r. w Londynie. Ciechanowski oparł ją w dużej mierze na relacjach pułkownika Janusza Bokszczanina, byłego zastępcy szefa Sztabu KG AK ds. operacyjnych. Bokszczanin relacjonował mu przebieg kluczowych narad Komendy Głównej AK przed powstaniem, w tym tej z 31 lipca 1944 r., na której samotnie miał się przeciwstawiać decyzji o rozpoczęciu akcji w Warszawie. Jego relacje były później przepisywane przez wielu historyków zabierających głos w dyskusjach o Powstaniu Warszawskim. Niemal nikt spośród nich nie sprawdził, że Bokszczanina nie było na naradzie KG AK 31 lipca 1944 r.

Na ten fakt – oraz na inne liczne luki w narracji Ciechanowskiego i Bokszczanina – zwrócił uwagę Jerzy Iranek-Osmecki, syn pułkownika Kazimierza Iranaka-Osmeckiego, będącego w 1944 r. szefem Oddziału II (informacyjno-wywiadowczego) KG AK. Osmecki Jr., sam będący powstańcem warszawskim, przedstawił swoje ustalenia w książce „Powstanie Warszawskie po 60 latach”. Wskazał w niej, że o ile Bokszczanin był na naradzie KG AK 28 lipca 1944 r., o tyle jego obecności na naradach późniejszych nie potwierdzają ani dokumenty z londyńskiego Studium Polski Podziemnej, ani relacje rzeczywistych uczestników posiedzeń Komendy Głównej. Konfabulacją jest relacja Jana Nowaka-Jeziorańskiego, który opisał, jak rzekomo brał udział w naradzie 31 lipca i jak słyszał na niej zastrzeżenia Bokszczanina dotyczące planów rozpoczęcia powstania. Wszelkie inne źródła wskazują bowiem, że Nowak-Jeziorański został jako kurier z Londynu przyjęty przez KG AK w węższym gronie, ale dzień wcześniej.

Sam przebieg tych narad różnił się też od tego, co po latach opowiadał Bokszczanin. Ich uczestnicy byli na przykład zgodni w tym, że Okulicki nie groził Borowi-Komorowskiemu, że zostanie zapamiętany jak gen. Skrzynecki. Taką sugestię miał (dość słabo zresztą) wypowie-

dzieć płk Rzepecki, ówczesny szef Biura Informacji i Propagandy AK. Gen. Bór-Komorowski wspominał zaś później, że Rzepecki lobbował za wybuchem powstania mocniej niż Okulicki. W opowiadkach Bokszczanina jakoś tego jednak nie widać.

Bokszczanin konfabulował też w kwestii swojej pracy w Sztabie KG AK. Opowiadał Ciechanowskiemu m.in., że ów sztab stanowiło duże pomieszczenie z rzędami biur, przy których pracowali oficerowie. Dla każdego, kto znał realia konspiracyjnej Warszawy, to aż zbyt oczywista bzdura. Ciechanowski podawał też, że Bokszczanin był zastępcą szefa Sztabu KG AK od stycznia do lipca 1944 r. i że był dokładnie wprowadzony w tematykę planów powstańczych. Gen. Pelczyński twierdził jednak, że Bokszczanin objął to stanowisko dopiero w marcu 1944 r., ale nie nadawał się do pracy sztabowej, dlatego 3 czerwca zastąpił go Okulicki. Płk Kazimierz Iranek-Osmecki wspominał natomiast, że Bokszczanin „robił wrażenie niedokładnie zorientowanego w swych obowiązkach, gdyż z planami operacyjnymi AK nie miał dotąd wiele wspólnego”.

Na naradzie KG AK 28 lipca 1944 r. Bokszczanin nie sprzeciwiał się samemu planowi rozpoczęcia powstania. Co więcej, poparł wówczas ustalenia dotyczące warunków strategicznych koniecznych do wywołania zrywu. Nie chciał jednak w nim uczestniczyć. Złożył wówczas rezygnację z udziału w pracach KG AK, uzasadniając to niechęcią do spotkania z Sowietami. Argumentował, że jest zagrożony, bo służył w białogwardyjskiej armii gen. Antona Denikina, i że lepiej będzie, jeśli wyjedzie poza Warszawę. Zwrócono mu wówczas uwagę, że nie tylko on, ale cała Komenda Główna AK może zostać aresztowana przez Sowietów. Nie zabroniono mu jednak wyjazdu. Jak widać, Bokszczanin był wówczas przekonany, że Armia Czerwona wkrótce zajmie Warszawę.

W październiku 1944 r. jakimś dziwnym trafem został szefem Sztabu Komendy Głównej

AK u boku jej nowego dowódcy gen. Okulickiego. Widziano w tym intrygę gen. Stanisława Tatara, byłego szefa Oddziału III (operacyjnego) KG AK. To właśnie Tatar tworzył plany akcji „Burza” i zdecydował, żeby wyłączyć z niej Warszawę. W wyniku jego decyzji duże ilości broni z magazynów AK w stolicy trafiły na wzmocnienie niemającej szans powodzenia politycznego akcji „Burza” na Kresach. Tatar, z powodu swojego jawnie prosowieckiego nastawienia, dostał „kopa w górę” i w kwietniu 1944 r. został wysłany do Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie, skąd snuł swoje intrygi. Jego dawnym bliskim współpracownikiem był właśnie Bokszczanin, przeciwnikami zaś – Okulicki i Pelczyński. W narracji Ciechanowskiego Tatar jest raczej pozytywnym bohaterem, mimo że ów dowódca był od dawna podejrzewany o współpracę z NKWD.

Powody wybuchu Powstania Warszawskiego

Czy Okulicki rzeczywiście parł do powstania „za wszelką cenę”? Według płk. Iranaka-Osmeckiego doszedł do przekonania o konieczności włączenia Warszawy do akcji „Burza” dopiero w czerwcu 1944 r., po zapoznaniu się z realiami panującymi w kraju (Okulicki został zrzucony do Polski w nocy z 21 na 22 maja 1944 r., a następnie mianowany generałem; przyjął wtedy pseudonim „Kobra”). Płk Antoni Sanojca, szef Oddziału I Organizacyjnego KG AK, wspominał, że w połowie czerwca odbył rozmowę z Okulickim. W trakcie jej pierwszej części „Kobra” przytoczył argumenty naczelnego wodza, gen. Kazimierza Sosnkowskiego, przeciwko powstaniu. „Po długim przedstawieniu tej tezy wyłożył mi swój punkt widzenia, który był diametralnie różny. Według niego powinniśmy bić się z Niemcami tak, by pozostać w walce aż do końca. Mówił, że będziemy może osamotnieni, że alianci zachodni nam nie pomogą, podobnie

skazane na klęskę

jak i Rosjanie, ale nie to ważne. Już w 1939 r. biliśmy się sami, takie jest nasze przeznaczenie” – wspominał Sanojca. Okulicki ostro skrytykował dowództwo AK za to, że wyłączyło Warszawę z akcji „Burza”. „Warszawa musi walczyć niezależnie od ceny”.

Gen. Okulicki reprezentował pogląd, że tylko w Warszawie da się przeprowadzić akcję, która albo zmusi Sowietów do partnerskiego potraktowania AK, albo – w przypadku sowieckich represji w wyzwolonej stolicy – zmusi Zachód do zajęcia stanowiska. „Z politycznego punktu widzenia Warszawa musi być oswobodzona przez Polaków i tylko przez Polaków” – przekonywał Okulicki. Widział niebezpieczeństwo w tym, że Sowietci zajmą Warszawę przy bierności AK. Te argumenty podzielali Pelczyński i Sanojca. Uzyskały one również zrozumienie u wielu innych oficerów Komendy Głównej.

Plk Janusz Szostak, I zastępca szefa Sztabu KG AK, opisał ciekawą rozmowę, którą odbył z Okulickim i Pelczyńskim „w okolicach 22 lipca” 1944 r. „Jeżeli podczas opanowywania Warszawy Armia Krajowa zachowa się biernie, to nie można wykluczyć, że PPR i jej jednostki wojskowe rozpoczną bezplanowe działania przeciw Niemcom, a wtedy zupełnie prawdopodobne, że nasi żołnierze Armii Krajowej przyłączą się do tej akcji, uznając bierność Komendy Głównej za pewnego rodzaju niedołęstwo, jeżeli nie za zdradę. (...) Prócz tego, wnosząc z dotychczasowej taktyki niemieckiej, która stosowała obronę miast, zwłaszcza położonych nad dużymi rzekami (np. Kijów), można było spodziewać się, że Warszawa będzie broniona i ulegnie poważnemu zniszczeniu. Wszystkie te względy, a przede wszystkim polityczne, polegające na konieczności wyzwolenia stolicy rękami polskimi, aby powitać Armię Czerwoną jako gospodarze swego kraju przez własny rząd, zmuszały do wystąpienia czynnego Armii Krajowej. Przyznaję, że zgodziłem się z tymi wywodami i nie wytaczałem kontrargumentów” – pisał Szostak.

Z dzisiejszej perspektywy te argumenty brzmią oczywiście inaczej niż w roku 1944. Krytycy ówczesnego dowództwa AK często zapominają jednak o pewnym fundamentalnym fakcie. Oficerowie KG AK byli wojskowymi, którzy podlegali zwierzchnictwu rządu polskiego i to jego strategię musieli realizować, w tym także jej elementy związane z relacjami z ZSRR. Nie mogli też rzec się praw do polskich ziem bez walki. „Na ziemi polskiej tylko władze polskie są gospodarzami i tylko one w oparciu o Naród mają prawo dokonywa-

nia zmian politycznych, społecznych i gospodarczych” – głosiła „Odezwa do Narodu Polskiego” z 26 lipca 1944 r. podpisana przez: przewodniczącego Rady Jedności Narodowej Kazimierza Pużaka, delegata rządu na kraj Jana Stanisława Jankowskiego i dowódcę AK gen. Borę-Komorowskiego. Dla tych ludzi konieczność zademonstrowania praw do sprawowania władzy przez Polaków w Warszawie była oczywistością.

Uwarunkowania strategiczne

Powstania bynajmniej nie chciano wywoływać przedwcześnie. Na naradzie, która odbyła się 28 lipca 1944 r. z udziałem m.in. Okulickiego, Pelczyńskiego, Iranka-Osmeckiego i Bokszczanina, ustalono warunki strategiczne rozpoczęcia boju o Warszawę. Zgodne ze sobą relacje Pelczyńskiego oraz Iranka-Osmeckiego wskazywały, że wszyscy się wówczas zgodzili, iż zryw można rozpocząć, jeśli wojska sowieckie przebiją się z przyczółka wiślanego położonego na południe od Warszawy: jeśli przebiją się o 40 km od Magnuszewa, to zagrożą niemieckim liniom komunikacyjnym, a to zmusi Niemców do wycofania się ze stolicy. KG AK wyraźnie uznawała sytuację na tym obszarze za dużo ważniejszą od niemiecko-sowieckiego boju na przedmościu praskim. Tym samym bardzo trafnie rozgryzła zamierzenia marszałka Konstantego Rokossowskiego, dowódcy 1. Frontu Białoruskiego.

We współczesnej historiografii jako początek walk na przyczółku warecko-magnuszewskim często wskazuje się datę 1 sierpnia 1944 r. Był to moment, gdy przeprawiły się tam oddziały 8. Armii Gwardyjskiej gen. Wasilija Czujkowa. Operacja utworzenia przyczółka zaczęła się jednak już kilka dni wcześniej. „Wywiad AK dostrzegł 24 i 25 lipca patrole sowieckie na lewym brzegu Wisły. A faktycznie już 28 lipca Rosjanie po prostu przeprawili się przez Wisłę bez walki, niepostrzeżenie, na terenie ogolonym z oddziałów niemieckich” – napisał Jerzy Irane-Osmecki.

Jednak Niemcy dopiero 9 sierpnia zaczęli natarcie na ten przyczółek. Wcześniej nie mieli sił, by załatać tę groźną lukę we froncie. Dlaczego więc powstanie rozpoczęło, choć nie została spełniona podstawowa przesłanka strategiczna, czyli wybicie się wojsk sowieckich z przyczółka pod Magnuszewem?

Wszystko wskazuje na to, że zawiñł przede wszystkim gen. Antoni Chruściel „Monter”, dowódca okręgu AK Warszawa. Zarządził przedwcześnie pogotowie bojowe okręgu, a na popołudniowej naradzie w KG AK 31 lipca 1944 r. złożył dezinformujący meldunek o postępie sił sowieckich. Mówił m.in. o tym, że rosyjskie czołgi były widziane na Pradze. Nie wiadomo, co wówczas

powiedział o sytuacji pod Magnuszewem. To, co jednak wtedy zakomunikował, skłoniło gen. Borę-Komorowskiego do wydania rozkazu, by rozpocząć bój o Warszawę 1 sierpnia o godzinie 17. Irane-Osmecki, niestety, spóźnił się na tę naradę i nie był w stanie skorygować meldunku Chruściela.

„Monter” złożył „Borowi” dezinformujący meldunek, mimo że dwie godziny wcześniej, o godz. 15, prawdziwą sytuację na przedpolu Pragi zreferował mu jego szef sztabu, ppłk Stanisław Weber „Chirurg” (Ciechanowski w swojej książce przesunął godzinę spotkania Chruściela i Webera z 15.00 na 17.30 i w ten sposób pokazał „Montera” w lepszym świetle). Nie wiadomo, co dowódca okręgu robił między spotkaniem z Weberem a naradą w KG AK, ale Jerzy Irane-Osmecki twierdził, że prawdopodobnie spotkał się z kimś, kto go inspirował politycznie do rozpoczęcia powstania „jak najszybciej”. Jego zdaniem tym inspiratorem był płk Rzepecki. Chruściela uznawano za postać „zbyt prostą” do samodzielnego snucia intryg. Miał trudny charakter i spośród członków dowództwa AK przyjaźnił się jedynie z płk. Rzepeckim. Płk Kazimierz Irane-Osmecki, ale też: Tadeusz Żenczykowski, w czasie powstania szef propagandy AK, oraz Aleksander Kamiński, jeden z przywódców Szarych Szeregów i redaktor naczelnny akowskiego „Biuletynu Informacyjnego”, sugerowali wręcz, że Rzepecki sterował „Monterem”.

Bez wątpliwości Rzepecki był tym członkiem KG AK, który dążył do wybuchu powstania za wszelką cenę, nie licząc się z uwarunkowaniami strategicznymi. Bardzo mu zależało na tym, żeby warszawski zryw wybuchł 1 sierpnia. Dlaczego właśnie tego dnia? Rzepecki wygadał się w tej sprawie we wrześniu 1944 r., wskazując, że powstanie miało być „argumentem dla naszych negocjatorów w Moskwie”. Rzepecki był politycznie mocno związany z ludowcami, a akurat premier ludowiec Stanisław Mikołajczyk przyleciał 30 lipca do Moskwy, żeby rozmawiać ze Stalinem o naprawie relacji między Polską a ZSRR.

Ciekawie w tym kontekście brzmi relacja Juliusza Wilczur-Garzteckiego, oficera kontrwywiadu AK, związanego także z Polską Armią Ludową, a po wojnie z komunistyczną bezpieką. Opisał on, że Tadeusz Szeląg, p.o. dowódcy okręgu Warszawa-Województwo Batalionów Chłopskich (i zarazem dowódcą oddziałów specjalnych BCh) na przełomie 1943 i 1944 r., wyjawiał mu, iż Mikołajczyk będzie tworzył rząd w Warszawie i skompletował już jego skład. „Koncepcja była taka, że gdy w Warszawie wybuchnie powstanie i zostanie oczyszczono lotnisko, wyładuje Mikołajczyk, ujawni Rząd Narodowy, zdezwuuje Londyn i będzie pertraktował ze Stalinem już z pozycji premiera Rządu Narodowego mieszczącego się w Warszawie, na suwerennym terenie oczyszczonym z Niemców” – pisał Wilczur-Garztecki. Do jego relacji należy oczywiście podchodzić ostrożnie, ale wygląda ona na prawdopodobną.

Zgubne gadulstwo Mikołajczyka na Kremlu

31 lipca o godz. 21 premier Stanisław Mikołajczyk został przyjęty na Kremlu przez Wia-

cesława Mołotowa, szefa sowieckiej dyplomacji. Mołotow beczelnie spytał, po co polski premier właściwie przyleciał do Moskwy i czy nie potrzebuje samolotu powrotnego. Mikołajczyk zaczął wyjaśniać, że zależy mu na porozumieniu i spotkaniu ze Stalinem. Przy okazji wypaplał, że „w ciągu kilku dni, a być może nawet dziś” wybuchnie powstanie w Warszawie. Przerazony Mołotow przerwał rozmowę i pobił do Stalina podzielić się z nim tą rewelacją. Już o godz. 23 marszałek Rokossowski dostał z sowieckiego Naczelnego Dowództwa depezę nakazującą mu przejść do obrony w rejonie Warszawy. 1 sierpnia o 4.20 do jego sztabu dotarły szczegółowe wytyczne, na jakiej linii ma się zatrzymać. Front zatrzymał się na linii przebiegającej m.in. w pobliżu „czerwonego” kościoła w Miedzeszynie, czyli na terenach oddalonych o niecałe pół godziny drogi od centrum Warszawy.

Obecnie niektórzy zawodowi historycy tłumaczą to „rozciągnięciem linii komunikacyjnych” i „zmęczeniem wojsk Rokossowskiego”. „To wszystko prawda. Jednak przypomnijmy, że zaledwie na trzy dni przed rozpoczęciem powstania Stawka planowała przeprowadzenie głębokiej operacji na terenie Polski z wyjściem na linię Toruń, Łódź, Częstochowa, Kraków – 150 km na zachód od Warszawy, że zlecono marszałkowi Żukowskiemu bezpośrednie dowodzenie natychmiast trzema frontami, zaś odpowiednie polecenia otrzymali Rokossowski, Zacharow i Koniew. Żaden z tych marszałków nie skarżył się na »przemęczenie wojsk«” – polemizuje z tą wyświechtaną propagandą białoruski historyk Władimir Bieszanow.

„Nasz plan operacyjny zmienił się nagle i oddziały musiały dokonać ostrego zwrotu w kierunku północnym, aby ominąć Warszawę. Warszawa została skreślona z planu ze specjalnych względów o charakterze politycznym” – zeznawał w sierpniu 1944 r. w niemieckiej niewoli, kapitan Surkow ze sztabu sowieckiej 47. Armii.

„(...) Mikołajczyk nie miał prawa uprzedzić Stalina, że Powstanie wybuchnie. Bo właśnie to uprzedzenie dało Stalinowi możliwość przeszkody temu. Gdyby Powstanie w Warszawie zaskoczyło bowiem nie tylko Niemców, ale i armię rosyjską, to ona nie mając rozkazów stanięcia, siłą impetu dotoczyłaby się do Warszawy. Osiągnęlibyśmy cel, który chcieliśmy osiągnąć” – pisał major Zbigniew Sujkowski, autor jednej z pierwszych monografii o powstaniu.

Dowództwo Armii Krajowej szykowało się na to, aby po wkroczeniu Sowietów bronić się przed internowaniem, stawiając opór w swojej kwaterze w fabryce Kamlera. Nie wiadomo, jak wiele chłopców i dziewcząt walczyło w powstaniu po wkroczeniu Sowietów do Warszawy trafiłoby do syberyjskich łagrów i kazamat Smiersza, a jak liczni z nich służyliby dalej w „ludowym” wojsku i robili później karierę w PRL. Być może powstałby jednak w Warszawie rząd z udziałem generała Berlinga i Mikołajczyka, a nastanie ciemnej nocy stalinizmu w Polsce zostałoby mocno odwleczone. Można jednak zakładać, że Warszawa uniknęłaby zburzenia i nie doszłoby do rzezi cywilów na taką skalę. Niestety – Mikołajczyk, Rzepecki i Chruściel pozbawili nas szans na realizację takiego scenariusza.

/@



Plk Janusz Bokszczanin (1894–1973), ps. Sęk

WIKIPEDIA



Plk Kazimierz Irane-Osmecki (1897–1984), ps. Makary

ARCHIWUM WOJSKOWE



Stanisław Mikołajczyk (1901–1966), w latach 1943–1944 premier RP na uchodźstwie

WIKIPEDIA



Gen. Tadeusz Komorowski (1895–1966), ps. Bór

WIKIPEDIA



Gen. Antoni Chruściel (1895–1960), ps. Monter

ARCHIWUM WOJSKOWE

ROZMOWA

Panie kapitanie, znajdujemy się obecnie w budynku PAST-y, w którego zdobywaniu brał pan udział w sierpniu 1944 r. jako 14-letni żołnierz zgrupowania Batalionu AK „Kiliński”. Jak z perspektywy pana wspomnień wyglądał ten duży powstańczy sukces?

Ze względu na wiek nie otrzymałem niestety przydziału broni, a mój udział w walkach polegał głównie na obserwowaniu nieprzyjaciela, sprawowaniu funkcji łącznika oraz dostarczaniu amunicji walczącym żołnierzom. Te zadania były równie potrzebne i niebezpieczne. Mój kolega z oddziału, plutonowy o ps. Szary, posiadał ręczny karabin maszynowy, który nie nadawał się jednak do walk ulicznych. Kiedy został wyznaczony do osłony PAST-y, poprosił mnie, abym był jego łącznikiem. Dzięki temu prawie od pierwszych dni powstania mogłem obserwować przebieg ciężkich walk, które prowadzili Polacy o zdobycie gmachu PAST-y. W końcowym ich etapie kobiece oddziały AK, zwane potocznie minerkami, wysadziły otwory w budynku. To przez nie dostali się do gmachu powstańcy. W tym samym czasie przez okna wpompowywano do środka ropę, która zaczęła topić cynę na urządzeniach telefonicznych. Wysoka temperatura i zadymienie spowodowały, że niemiecka załoga po 20 dniach skapitulowała. Tą zakończoną sukcesem akcją „Kilińskiego” dowodził rotmistrz Henryk Leliwa-Roycewicz. Dla mnie był to jeden z najbardziej wzruszających dni w okresie Powstania Warszawskiego. Stałem wtedy przed gmachem PAST-y i obserwowałem, jak z okienka piwnicznego wychodzili ci „niezwyciężeni żołnierze Wehrmachtu niemieckiego” z podniesionymi do góry rękami, bez broni, dystynkcji wojskowych i ze strachem w oczach. Ze zgromadzonego tłumu dobiegały okrzyki: „Pod ścianę ich!”. Na szczęście istniała Żandarmeria AK, która zabierała jeńców do niewoli. Powstańcy szanowali konwencję genewską. Zabicie bezbronnego jeńca było dla nich nie do pomyślenia.

Był pan jednym z najmłodszych uczestników walk. We włączeniu pana do konspiracji dużą rolę odegrał starszy o dziesięć lat brat, który został później pana dowódcą. Mama aktywnie wspierała wasze działania, natomiast ojciec, pewnie z obawy o ukochane dzieci, był bardziej sceptyczny. Jakie znaczenie miały dla pana te trzy różne wzorce wyniesione z domu? Co skłoniło 14-letniego chłopca do ryzykowania życia za ojczyznę?

Przede wszystkim muszę podkreślić, że moi rodzice różnili się i było to jak najbardziej naturalne. Oboje byli cudownymi rodzicami. Ojciec, który w młodości miał kontakt z Rosjanami (był powołany do rosyjskiej armii w 1905 r.) i zdążył poznać ich mentalność, obawiał się, że nadzieja na dobrą współpracę z nimi przez polskie władze polityczne może się źle skończyć. Historia pokazała, że miał rację. Nie znaczy to jednak, że był całkiem przeciwny powstaniu – miał do niego tylko dużo bardziej racjonalny stosunek. Mama i brat natomiast zostali zaprzysiężeni już w 1942 r. Ja musiałem z tym poczekać aż do 1944 r., bo wcześniej byłem za młody. Mama prowadziła sklep, który pełnił też funkcję miejsca produkcji oraz składu zapalających butelek z benzyną. Benzynę rozlewano w nocy, ale i tak rozchodzący się zapach był silny i mógł nas zdradzić. Wpadliśmy więc na pomysł, aby w tym samym sklepie pędzić bimber, którego zapach – mieliśmy nadzieję – zamaskuje woń benzyny. Oczywiście, pędzenie bimbru też było zakazane, ale nie aż tak niebezpieczne jak produkcja broni, za którą groziła natychmiastowa śmierć. Jak się okazało, ten pomysł był genialny i uratował nam życie. Pewnego razu na kontrolę przyszło dwóch Niemców. Mama ze ściśniętym sercem patrzyła, jak oglądają butelki wypełnione płynem. Była to benzyna, ale oni wzięli ją za bimber. Na szczęście nie powąchalili zawartości. Aby ich do reszty udobruchać, mama wręczyła im dwie butelki prawdziwego bimbru. Poszli i więcej już nas nie dręczyli, ale było to jedno z naszych najbardziej wstrząsających przeżyć przed powstaniem. Ponadto przez cały okres okupacji praktycznie mieliśmy spakowane walizki w przedpokoj, bo w każdej chwili mogli przyjść Niemcy i wyrzucić nas z mieszkania. Bez skrupułów bowiem zajmowali lokale, które im się podobały, ponieważ Polacy w podbitym kraju zostali pozbawieni prawa własności. Obserwując więc zmagania moich bliskich, w naturalny sposób zapragnąłem im towarzyszyć. Zanim włączyłem się oficjalnie w konspirację, robiłem to poprzez naukę na tajnych kompletach. Ponadto i mnie udzielała się atmosfera wielkiej nienawiści do Niemców, która panowała w moim



Kpt. Janusz Jakubowski (1930–2022), ps. Sokół, żołnierz Batalionu AK „Kiliński”

Wspomnienia i refleksje powstańca

*W 2020 r. wywiadu udzielił nam
kpt. Janusz Jakubowski, ps. Sokół,
żołnierz Batalionu AK „Kiliński”
oraz ówczesny prezes Ogólnokrajowego
Środowiska Batalionu AK „Kiliński”.
Przypominamy tę rozmowę jako wyraz naszego
szacunku i hołdu dla „Sokoła”.*

ZOFIA BRZEZIŃSKA

otoczeniu. Pamiętam, jak podczas spaceru z koleżanką po Mokotowie jadący bryczką Niemiec bez żadnego powodu zwoływał nas od przeklętych świń i uderzył moją towarzyszkę batem. Takich smutnych wspomnień związanych z okupacją mam oczywiście dużo więcej.

Jedną z głównych przyczyn wybuchu walk powstańczych była zrozumiała chęć wzięcia odwetu za pięć lat okrutnej okupacji niemieckiej. A czy kiedykolwiek w trakcie powstania zetknął się pan osobiście z wrogiem?

Pragnienie odwetu było w Polakach ogromne i temu nie można zaprzeczyć. Silniejsze jednak było pragnienie wolności, bez względu na związane z jej odzyskaniem cierpienia czy groźbę śmierci. Dobrze oddają to słowa pieśni z walk o Monte Cassino: „Lecz od śmierci silniejszy był gniew”. Ja nie miałem możliwości brać udziału w bezpośrednich walkach z uzbrojonymi żołnierzami Wehrmachtu, nie posiadałem bowiem broni. Miałem za to kontakty z jeńcami. Pewnego razu byłem świadkiem ujęcia żołnierza z Brygady Szturmowej SS „RONA”. Składała się ona z jeńców rosyjskich,

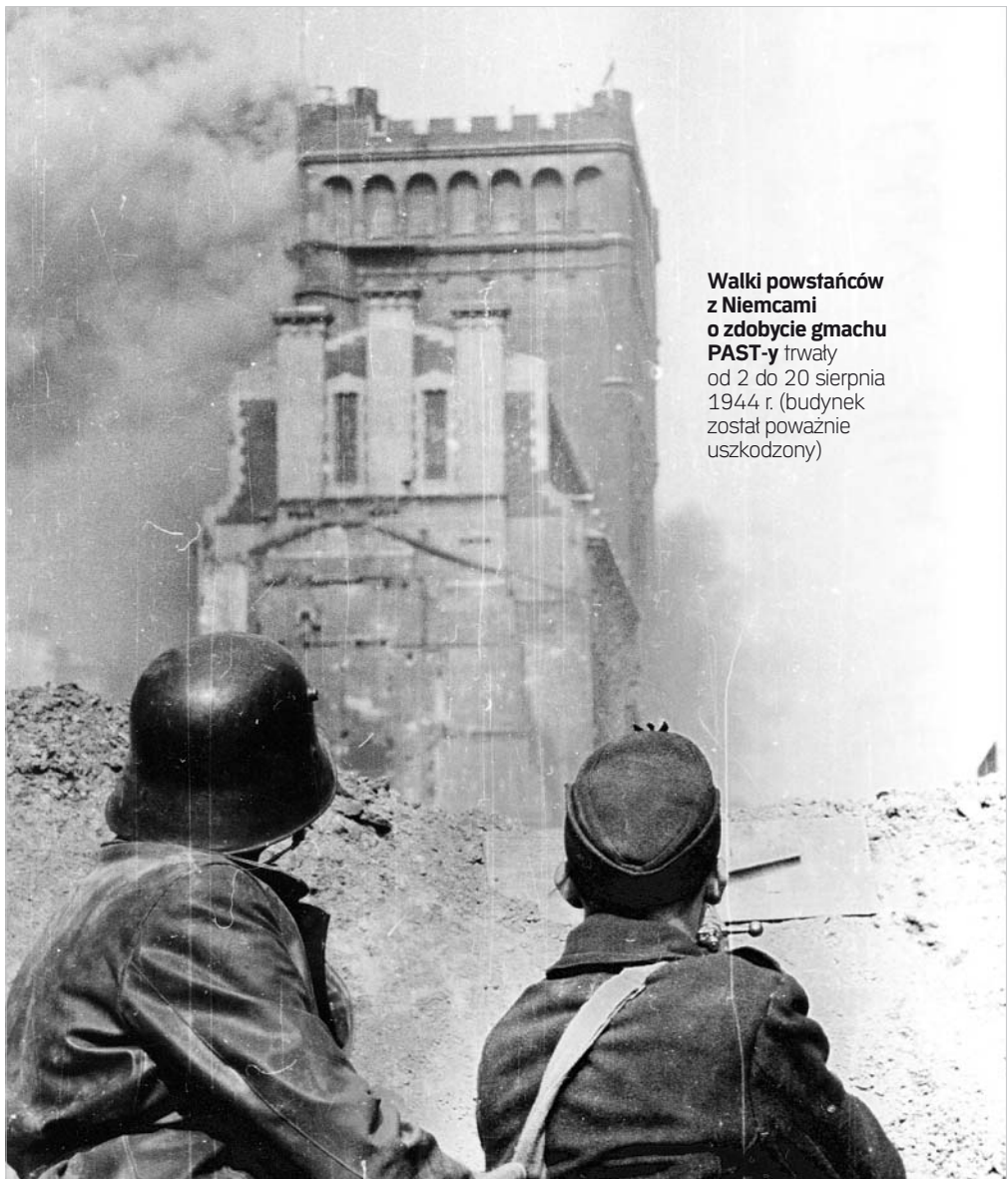
którzy przeszli na stronę niemiecką. Była to perfidna jednostka, której wartość bojowa była znikoma, ale specjalizowała się w bestialskim mordowaniu ludności cywilnej. Okazało się, że ów jeńiec pod koszulą ukrywał sznur, na którym trzymał duże ilości zegarków, złotych bransolet, obrączek i biżuterii. Dopytywany o pochodzenie tych rzeczy odparł, że są to dobrowolne podarunki od polskich kobiet. Moi koledzy nie wytrzymali i, mówiąc potocznie, obili mu głowę. Wiadomo przecież, że ronowcy słynęli nie tylko z masowych grabieży, ale też seryjnych gwałtów i mordów. Gdyby nie pojawili się żandarmi i nie zabrali jeńca, to zostałby dotkliwie pobity.

Drugi kontakt z jeńcem miałem zaraz po jednej z bitew w rejonie ulic Chmielnej i Brackiej. Tam z jednej strony leżeli ranni powstańcy, a z drugiej siedział ranny żołnierz Wehrmachtu i rozpaczliwie wzywał pomocy. W pierwszej chwili pomyślałem: „Dobrze ci tak, Szwabie! Mogę cię jeszcze kopnąć!”. Zaraz jednak zrobiło mi się żal chłopaka, niewiele starszego ode mnie. Mój dowódca zatrzymał przebiegającą sanitariuszkę i polecił udzielić Niemcowi pomocy. „A, to Szwab, niech poczeka”, odrzekła, ale po chwili podała mu opatrunek i kazała przemyć ranę. Do dziś wspominam to ze wzruszeniem.

Pana koleżanką w oddziale była Alina Janowska (1923–2017), słynna aktorka. Jak pan wspomina wasze wspólne powstańcze losy?

To prawda – Alina służyła w trzecim plutonie, a ja w drugim tej samej kompanii. Była bardzo odważną kobietą i dobrą łączniczką. Pamiętam, jak przyszła do nas na stanowisko bojowe w okresie walk o PAST-ę. Miała włosy posypane popiołem, a w sukience przepalone dziury. Przyniosła nam ugotowaną kaszę. Idąc do nas, musiała przejść przez ulicę, na której paliły się domy. Z jednego spadła płonąca belka, a w jej stronę poleciały iskry. Przerażona, upuściła butelki z kawą, która się wylała, i kociołek z kaszą.

Mam też jedno traumatyczne wspomnienie z udziałem Aliny. Pewnego dnia, gdy pełniliśmy służbę na posterunku bojowym w Al. Jerozolimskich, od podwórka przyszła do nas Alina i zapytała o dowódcę odcinka. Po chwili w podwórko wpadł pocisk z granatnika. Huk ogromny! Gdy opadł kurz, zauważyłem na moich rękach i na nogach Aliny drobne krople krwi. Stało się tak dlatego, że odłamki z tego pocisku uderzyły w glazurę znajdującą się na



Walki powstańców z Niemcami o zdobycie gmachu PAST-y trwały od 2 do 20 sierpnia 1944 r. (budynek został poważnie uszkodzony)

EUGENIUSZ ŁOKAJSKI, BRUK / MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

ścianach bramy i poraniło nas drobne szkliwo. Gdyby Alina przechodziła przez podwórkę minutę wcześniej, zginęłaby. Można więc powiedzieć, że razem z Aliną przelewaliśmy krew.

Jedną z najczarniejszych chwil powstańców stał się moment, gdy trzeba było złożyć broń i pogodzić się z upadkiem zrywu. Jakie były pańskie losy po kapitulacji?

Był to bez wątpienia tragiczny moment, a ciężaru związanych z nim trudnych emocji nie da się z niczym innym porównać. Szczególnie nie mogliśmy pogodzić się z tym, że Armia Czerwona i ludowe Wojsko Polskie, stacjonujące za Wisłą, nie pomogły nam. Stało się jednak nieuniknione i musiano przekazać nam wiadomość o kapitulacji. Gdy odpoczywaliśmy załamani tą wiadomością, przyszła do nas Alina, zachęciła do śpiewu, a nawet porwała do wspólnego tańca!

Istniało ciche zalecenie, aby kobiety i dzieci będące powstańcami wyszły z miasta jako cywile. Obawiano się bowiem, czy Niemcy uhonorują postanowienia genewskie. Ja początkowo chciałem iść do niewoli razem z moim bratem, jednak na życzenie matki udałem się do mojego dowódcy i otrzymałem zwolnienie z wojska. Wraz z matką przeszedłem przez obóz w Pruszkowie, skąd zostaliśmy wywiezieni do wsi Luborzyca pod Krakowem, a tam każde z nas przydzielono do innego gospodarza. W zamian za wikt i opierunek pomagałem w gospodarstwie. W ten sposób poznałem ciężki wiejski trud i nauczyłem się obsługiwać „gadzinę”, czyli krowy, świnię i konie. Część wytworzonych dóbr gospodarze musieli niestety oddawać Niemcom jako kontyngent.

Wiosną 1945 r. powróciliśmy do zburzonej Warszawy. Opatrzność, jak widać, nad nami czuwała, bo całej rodzinie na szczęście udało się przeżyć. Postanowiłem podjąć studia na Politechnice Warszawskiej i zostać inżynierem elektrykiem. Cały czas jednak towarzyszyła mi obawa, że zostanę usunięty z uczelni za przynależność do Armii Krajowej. Na szczęście tak się nie stało.

Panie kapitanie, jest pan nadal bardzo aktywnym działaczem środowisk kombatanckich. Obecnie jako prezes Ogólnokrajowego Środowiska Batalionu AK „Kiliński”, zrzeszonego w Światowym Związku Żołnierzy Armii Krajowej, z pewnością często styka się pan z różnymi opiniami na temat powstania. A jakie jest pańskie spojrzenie na pamiętne wydarzenia z lata 1944 r.?

To dość złożone pytanie i moim zdaniem trzeba udzielić na nie odpowiedzi, biorąc pod uwagę różne aspekty: polityczny, wojskowy,

emocjonalny i gospodarczy. Ja przede wszystkim przekonałem się, jak wiele racji miał mój rozsądny i sceptyczny ojciec ze swoim pragmatycznym podejściem do Rosjan. Wiem, że ta opinia może wydawać się kontrowersyjna, ale według mnie do czasu zakończenia wojny strona polska nie powinna była podejmować tematu Katynia. Wystosowanie przez polski rząd na uchodźstwie prośby o zbadanie grobów przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż rozdrażniło ZSRR i doprowadziło do zerwania stosunków dyplomatycznych. Jak później można było liczyć na to, że nam pomogą? Przede wszystkim plan wywołania powstania należało bezwzględnie uzgodnić ze Stalinem! Zaniechanie tych wszystkich spraw spowodowało, że wydanie pozwolenia przez polski rząd w Londynie na podjęcie decyzji o wybuchu powstania dowódcom wojskowym i politycznym w okupowanej Polsce okazało się tragicznym błędem.

Podczas studiów po raz pierwszy też zrozumiałem ogrom popełnionych błędów – z wojskowego punktu widzenia. Przed podjęciem jakichkolwiek działań każda jednostka wojskowa powinna dopilnować kilku kluczowych spraw: rozeznac siły wroga, uwzględnić pomoc, na jaką on może liczyć, ocenić własną siłę bojową, a także zorientować się w kwestii własnego zaplecza i szans na ewentualną pomoc sąsiadów oraz kierunku wycofania się w przypadku przegranej. Biorąc pod uwagę te wszystkie kwestie, których nie dopatrzono, bezsens powstania z wojskowego punktu widzenia rzuca się w oczy w sposób niezaprzeczalny. Tragiczny bilans gospodarczy tego zrywu także jest powszechnie znany. Śmierć poniosło 200 tys. ludzi, a miasto uległo niemal całkowitemu zniszczeniu. Wiele bezcennych dóbr kultury utracono bezpowrotnie. Oczywiście, zdając sobie sprawę z tego, jak wielkim wyzwaniem byłoby powstrzymanie przed walką tysięcy przygotowujących się do niej od lat młodych, żadnych odwetu ludzi. Nie mam jednak wątpliwości, że obowiązkiem władz było ten wysiłek podjąć i nie dopuścić do wybuchu powstania. Winston Churchill powiedział: „Naród, którego żołnierze brali udział w Bitwie o Anglię, walczyli w Narwiku, Tobruku i w Powstaniu Warszawskim, powinien mieć swoje państwo, w którym po wojnie należy przeprowadzić wolne wybory”. Prawdą jest, że historia to zbiór działań i skutków. Z tych działań i skutków należy jednak wyciągać wnioski, a raz podjętych decyzji nie zostawiać, tylko wraz z obserwacją rozwoju sytuacji na bieżąco je weryfikować i uaktualniać. /©©

BYŁO, NIE MINĘŁO

Nie tylko strzelali



Krzysztof Kowalski

Niestety, zasługi powstańców na niwie ratowania przed zagładą i rabunkiem dóbr polskiej kultury wciąż pozostają niedoszacowane.

Powstania umierają dwukrotnie: pierwszy raz, gdy upadają, drugi – gdy popadają w zapomnienie, przestają budzić emocje, dzielić ludzi na ich zwolenników i przeciwników, a historycy nie podejmują już rozważań o towarzyszących im okolicznościach politycznych i militarnych. Kto bowiem dziś pamięta o powstaniu tkaczy śląskich z czerwca 1844 r.? Co prawda, ten zryw nie wstrząsnął podstawami monarchii, ale były powstania nieporównanie większego kalibru, z którymi największe potęgi radziły sobie z największym trudem, ale i tak pamięć o nich jest współcześnie wątła.

Niezgoda na narzucony siłą porządek społeczny, polityczny, ideologiczny, gospodarczy i siłowa reakcja na ten nieakceptowany stan rzeczy nie są polską specjalnością. Jemieljan Pugaczow porwał za sobą Kozaków dońskich i chłopstwo, omal nie odrywając od Rosji wielkiej połaci kraju, omal nie zrzucając z tronu cara, a jednak po tym powstaniu stłumionym w 1774 r. pozostały krótkie wzmianki w encyklopediach i długi poemat dramatyczny w ośmiu obrazach pióra Siergieja Jesienina (wydanie polskie: 1923 r.).

Powstanie, jakie wzniecił Mahdi w 1881 r., wstrząsnęło podstawami potęgi brytyjskiej, derwisze zwyciężali regularne oddziały armii kolonialnego kolosa. Powstanie to legło u podstaw współczesnej państwowości Egiptu i Sudanu, a jednak pozostały po nim tylko krótkie encyklopedyczne wzmianki.

Na samym początku polskiej państwowości wybuchło powstanie, które na pewien czas zmiotło z tronu monarchę Kazimierza; bunt, jaki wybuchł w 1037 r., miał charakter absolutnie fundamentalny, wymierzony był w nową religię (chrześcijaństwo) wprowadzaną odgórnie, dosłownie ogniem i mieczem, oraz w feudalne jarzmo narzucane siłą wolnym kmieciom. Rozgrywały się wówczas dantejskie sceny, krew ląła się strumieniami, kraj stanął w ogniu. O bohaterach i przywódcach tych wydarzeń opowiadano przez pokolenia, a jednak i te wspomnienia zbladły – nie znamy imion tych ludzi.

Jeżeli w dziejach da się uchwycić jakieś prawidłowości, to czy wolno pokusić się o prognozę, że kiedyś tak właśnie stanie się z pamięcią o Powstaniu Warszawskim? Kiedy? Im więcej, im mądrzej (bez „bałwochwalstwa”) będziemy je wspominali, tym później to nastąpi – może za kilkaset, może dopiero za tysiąc lat.

Mądrze wspominać Powstanie Warszawskie, to wyraźnie mówić o tym, że nie polegało ono tylko na walce z bronią w rękę. Powstańcy bronili również historii ojczyzny. Nakładem Wydawnictwa Politechniki Krakowskiej ukazało się dwutomowe dzieło Tadeusza Macieja Ciołka „Gerard Ciołek i przyjaciele...” (2019), będące „Kalendarium życia i pracy 25 pasterzy krajobrazu i zabytków” – znakomitych polskich architektów, konserwatorów zabytków i historyków sztuki. Ich życie przypadło m.in. na czas Powstania Warszawskiego. W tym krwawym epizodzie polskich dziejów zapisali się złotymi zgłoskami, mimo że nie strzelali ani nie rzucali butelek z benzyną.

3 sierpnia 1944 r. Muzeum Narodowe zajmują Niemcy. Dyrektor Stanisław Lorenz i inni pracownicy zostają uwięzieni w budynku jako zakładnicy. Są bezsilnymi świadkami bezmyślnego niszczenia eksponatów i rozkradania ich przez niemieckich żołnierzy. Powstańcy mieli tego świadomość, dlatego nie przypadkiem właśnie 3 sierpnia podporucznik Gerard Ciołek zostaje mianowany

”
Mądrze wspominać Powstanie Warszawskie, to wyraźnie mówić o tym, że nie polegało ono tylko na walce z bronią w rękę. Powstańcy bronili również historii ojczyzny

dowódcą obrony i ochrony Biblioteki Ordynacji Krasińskich przy ulicy Okólnik – ma zabezpieczać nie tylko bibliotekę, ale także dobra kultury w Warszawie w ogóle: „Biblioteczna jednostka ochrony cywilnej selekcjonuje i pakuje najważniejsze starodruki i rękopisy, przenosi je z magazynów do bezpieczniejszych piwnic oraz usuwa z poddasza, a także z okolic okien we wszystkich pomieszczeniach łatwopalne drewniane meble i okienne zasłony. Jednocześnie członkowie przeciwpożarowej ekipy zbierają na miasteczko i przenoszą do sal Biblioteki Ordynacji Krasińskich zestawy książek i archiwalnych materiałów, znajdujące się w ruinach zbombardowanych prywatnych mieszkań, bibliotek oraz instytucji kulturalnych i państwowych” („Gerard Ciołek

i przyjaciele...”). Dowództwo AK zabroniło swoim jednostkom wykorzystywania budynku biblioteki do jakichkolwiek zbrojnych celów. Tak pozostało aż do 6 września, do dnia upadku Powiśla.

O militarnej i politycznej stronie Powstania Warszawskiego powiedziano i napisano już chyba wszystko. Jego apologeci i kontestatorzy zużyli chyba całe swoje arsenały argumentów, racji, analiz, emocji. Natomiast zasługi powstańców na niwie ratowania przed zagładą i rabunkiem dóbr polskiej kultury wciąż pozostają niedoszacowane. Żyjący jeszcze uczestnicy zrywu, zapraszeni co roku na uroczyste obchody kolejnych rocznic wybuchu Powstania Warszawskiego, owego doszacowania i docenienia niestety mogą nie doczekać. /©©

POWSTANIE WARSZAWSKIE



Patrol powstańczy na ul. Jasnej. Warszawa, sierpień 1944 r.

„Leśni” w powstaniu

Partyzanci z Grupy „Kampinos” byli jedynym zgrupowaniem AK, które zdołało przyjść z pomocą walczącej Warszawie latem 1944 r. Wśród nich znalazło się wielu żołnierzy, którzy dotarli do stolicy z odległych wschodnich rubieży Rzeczypospolitej.

KRZYSZTOF JÓZWIAK

Kiedy kpt. Józef Krzyczkowski, ps. Szymon, któremu podlegały oddziały partyzanckie AK we wschodniej części Puszczy Kampinoskiej, dotarł do Dziekanowa Polskiego, długo nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Wprawdzie zwiadowcy donieśli mu, że w tej podwarszawskiej wsi zupełnie otwarcie, za zgodą Niemców, zatrzymali się polscy żołnierze w przedwojennych mundurach i z orzelkami na rogatywkach, ale „Szymon” spodziewał się raczej gestapowskiej prowokacji niż tego, że relacje te okażą się prawdziwe. Tymczasem na miejscu rzeczywiście zastał liczącą blisko 900 żołnierzy oddział, świetnie wyszkolony i uzbrojony, dysponujący własną kawalerią, szwadronem ckm-ów i licznym taborem. Ze wsząd dobiegał język polski okraszony śpiewnym kresowym akcentem.

Okażało się, że oddział, który nocą z 25 na 26 sierpnia 1944 r. stanął na skraju Kampinosu, to również „leśni” – Zgrupowanie Stołpeckie AK, dowodzone przez „cichociemnego” por. Adolfa Pilcha, ps. Góra. Ich partyzanckim domem była położona aż za Niemnem Puszcza Nalibocka, gdzie toczyli zacięte walki z Niemcami, współpracując przy tym z sowiecką partyzantką. W grudniu 1943 r. Sowietci dokonali zdradzieckiego ataku – podstępnie uprowadzili dowództwo batalionu oraz rozbili większość jego pododdziałów. Komendę nad tymi, którym udało się umknąć obławie, objął „Góra”. Za zgodą przełożonych zawarł tymczasowy rozejm z Niemcami i odbudował oddział, który przez

kolejne miesiące walczył z powodzeniem z Sovietami, a kiedy 22 czerwca 1944 r. ruszyła ofensywa Armii Czerwonej, zaczął przebijać się na zachód, przemykając pomiędzy rozbitymi jednostkami niemieckimi. Ponad 500-kilometrowy niezwykle rajd partyzanci stołpeccy zakończyli pod Warszawą. Pilch przez cały ten czas wodził Niemców za nos, podtrzymując ich przekonanie, że zgrupowanie jest jednostką sojuszniczą, chociaż nie przeprowadził z nimi żadnych wspólnych operacji wojskowych. Po dłuższych pertraktacjach Niemcy przepuścili nawet polski oddział przez silnie strzeżony most na Wiśle w Nowym Dworze Mazowieckim, wyznaczili mu kwatery w Dziekanowie i wsparli transportami żywności, broni i amunicji.

Sytuacja zgrupowania była dwuznaczna, ale kpt. Krzyczkowski nie zastanawiał się zbyt długo, co należy zrobić. Powstanie w Warszawie miało wybuchnąć lada dzień, a zadania wyznaczone partyzantom z Kampinosu, w tym zdobycie lotniska bielańskiego, były niezwykle trudne do zrealizowania. Nagłe pojawienie się doskonale uzbrojonych i otrzaskanych w boju przybyszów z dalekich Kresów było niczym dar od niebios.

Skandaliczne rozkazy

Decyzję co do dalszych losów Zgrupowania Stołpeckiego (w historiografii zwanego także Stołpecko-Nalibockim) musiała jednak podjąć Komenda Główna AK. Logicznie rzecz biorąc,

wyбір był prosty: wykorzystanie w walkach powstańczych kresowych partyzantów mogło przynieść wyłącznie same korzyści, ale kierownictwo AK obawiało się, że taka decyzja utrudni nawiązanie współpracy z Armią Czerwoną przy wyzwaniu stolicy. Pojawiły się więc kuriozalne pomysły zakupu broni od podkomendnych por. Pilcha czy rozbrojenia ich siłą, a jego samego postawienia przed sądem polowym za kolaborację z Niemcami. Wreszcie padł najbardziej bulwersujący rozkaz wysłania ich do Borów Tucholskich, co skazywało oddział na niemal pewną zagładę.

Wstrząśnięty „Góra” zaproponował „Szymonowi”, że wraz z całym swoim zgrupowaniem odda się pod jego komendę. Dowódca z Kampinosu szybko podchwycił tę propozycję i ostatecznie przekonał do niej kierownictwo AK, które jednak „umyło ręce”, zastrzegając, że „Szymon” robi to „na swoją odpowiedzialność”. Żołnierze Pilcha, który pod Warszawą zaczął używać pseudonimu „Dolina”, maszerując na swoje nowe kwatery w samym środku Puszczy Kampinoskiej, rozbili 31 lipca w Aleksandrowie silną kompanię Wehrmachtu, udowadniając, że zawieszenie broni z okupantem było tymczasowe.

Na odsiecz Warszawie

Wiadomość o Godzinie „W” dotarła do „Szymona” bardzo późno, na przygotowanie ataku „leśni” mieli raptem dwie godziny. Nie dawało to realnej szansy na zdobycie lotniska bielańskiego, dlatego wysłanie do boju 1 sierpnia trzech kompanii piechoty było raczej zbrojną demonstracją niż prawdziwym szturmem. Ten nastąpił dopiero następnego dnia rano. Blisko tysięcy partyzantów „Szymona” i „Doliny” przez kilka godzin zaciekle atakowało bardzo silnie umocnione pozycje niemieckie, broniące przez blisko 700 żołnierzy. Ostatecznie Polacy musieli wycofać się do Puszczy Kampinoskiej z dużymi stratami – 31 zabitych i 45 rannych (w tym dowódca, kpt. „Szymon”).

Przez kolejne dni w szeregach partyzantów i na stanowisku dowódcy dochodziło do wielu przetasowań. Ranny „Szymon” z sił swojego rejonu i Zgrupowania Stołpeckiego utworzył Pułk AK „Palmiry-Młociny” i przekazał dowodzenie por. Pilchowi. Kierownictwo AK, nie mając do „Doliny” zaufania, wyznaczyło nowego dowódcę – mjr. Alfonsa Kotowskiego „Okonia”, który jednak dotarł do Kampinosu dopiero w połowie sierpnia. W międzyczasie do zgrupowania dołączyły oddziały AK z zachodniej części Kampinosu, okręgu sochaczewskiego, pozostałych obwodów „Obrozy” (Grodzisk Mazowiecki, Pruszków, Ożarów), a także niektóre jednostki powstańcze, które wycofały się z miasta. Na bazie tych oddziałów oraz Pułku „Palmiry-Młociny” utworzono w połowie sierpnia Grupę „Kampinos”. W następnych tygodniach została ona jeszcze

wzmocniona powstańczymi kompaniami „Jerzyki” i „Zemsta” oraz batalionem legionowskim. W szczytowym momencie rozwoju liczyła 2700 żołnierzy i 700 koni.

Pierwsza próba odsieczy dla walczącej Warszawy, zorganizowana 15 sierpnia, wskutek chaotycznego dowodzenia i zgubienia drogi w nocnych ciemnościach przez część plutonów, zakończyła się fiaskiem. Około 400 żołnierzy przedostało się jednak na Żoliborz. Drugą odsiecz, w nocy z 19 na 20 sierpnia, poprowadził osobiście mjr „Okoń”. Po drodze natknęto się na posterunki obsadzone przez sprzymierzonych z Niemcami Węgrów, lecz po krótkich negocjacjach Honvédi zgodzili się przepuścić Polaków bez walki. Kilka oddziałów ponownie pogubiło drogę i musiało zawrócić, ale większość szczęśliwie dotarła na Żoliborz. Łącznie do miasta przedostało się około 1000 partyzantów z Grupy „Kampinos”.

Powstańcze dowództwo postanowiło wykorzystać „leśnych” w ataku na Dworzec Główny i umocnienia niemieckie wzdłuż linii kolei obwodowej. Była to jedna z największych operacji ofensywnych w czasie Powstania Warszawskiego, mająca na celu połączenie dwóch otoczonych przez wroga powstańczych enklaw: Żoliborza i Starego Miasta. Dowodził płk Mieczysław Niedzielski „Żywiciel”. Pierwszy atak rozpoczął się w nocy z 20 na 21 sierpnia. Główny szturm prowadzili „leśni”. Niestety, „Żywiciel” z niezrozumiałych względów nie zgodził się przydzielić im miejscowych przewodników, a przecież większość z nich była po raz pierwszy w tak dużym mieście. W rezultacie część żołnierzy pogubiła się, tym samym alarmując Niemców, którzy położyli morderczy ogień zaporowy. Jego siła zaskoczyła atakujących. Szturm był niestety poprzedzony słabym rozpoznaniem stanowisk nieprzyjaciela: spodziewano się ok. 300 żołnierzy w kilkunastu umocnionych punktach, a jak się później okazało, linii obwodowej i dworca broniły główne siły grupy bojowej płk. Schmidta (ok. 1500 żołnierzy) – świetnie uzbrojone, okopane lub ukryte w bunkrach, wspierane artylerią i pociągami pancernymi.

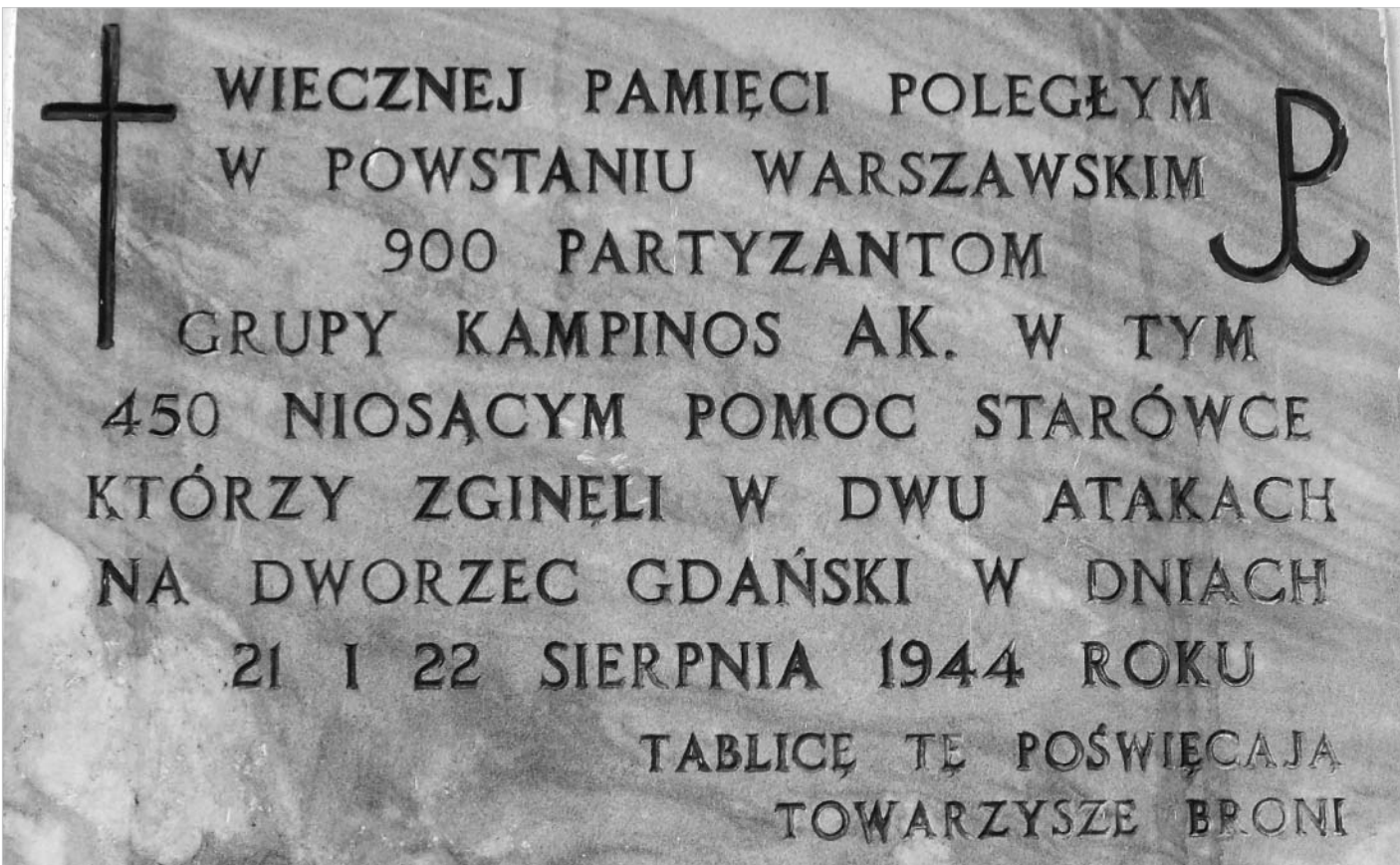
Kolejne uderzenie przeprowadzono już następnego dnia. Znow trzon oddziałów szturmowych stanowili „leśni”, ale mieli tym razem otrzymać większe wsparcie jednostek żoliborskich i oddziałów ze Starówki. Niestety, atak ponownie utknął w nawale ognia jeszcze lepiej przygotowanych do obrony Niemców. Co gorsza, do walki włączył się pociąg pancerny, ponieważ żoliborski patrol minerski nie wysadził na czas torów. Tylko pojedynczym oddziałom udało się przedrzeć na drugą stronę torów, tam jednak większość żołnierzy zginęła bądź dostała się do niewoli. Pozostałe kompanie, ponosząc ogromne straty, cofnęły się na pozycje wyjściowe. Dopiero wtedy do spóźnionego natarcia ruszyły oddziały ze Starego Miasta. Straty Grupy „Kampinos” były bardzo wysokie, poległo lub zostało rannych kilkuset żołnierzy, w tym wielu oficerów.

Tuż po klęsce w bitwie o Dworzec Gdański siły kampinoskie otrzymały drugi bolesny cios – powstańcze dowództwo nakazało im przed powrotem do leśnej bazy przekazać całą broń obrońcom Starówki oraz Żoliborza. Wielu „leśnych” nie chciało się na to zgodzić, co wywołało nadzwyczaj ostrą reakcję znanego z porywczkości mjr. Kotowskiego. Ponoć „Okon” krzyczał na swoich podwładnych, wyrywał im broń, groził sądem polowym. Od tego momentu jego podkomendni patrzyli na niego z rosnącą niechęcią. Z żołnierzy, którzy kategorycznie odmówili wykonania przykrego rozkazu, ale pozostali w Warszawie, sformowano na Żoliborzu trzy plutony, które m.in. broniły jednej z głównych redut dzielnicy, tzw. Poniaćówki, a pluton ppor. Jerzego Rybki „Kiejstera” przeszedł kanałami na Stare Miasto i został wcielony do Batalionu „Parasol”.

Zemsta za Ochotę

Największą bitwą stoczoną przez Grupę „Kampinos” poza Warszawą było rozbicie rosyjskiego kolaboracyjnego pułku szturmowego „RONA”. Był to swego rodzaju odwet za zbrodnie, jakie popełniła ta formacja w Warszawie, m.in. za rzeź Ochoty, podczas której ronowcy wymordowali około 10 tys. mieszkańców tej dzielnicy. 27 sierpnia pułk „RONA”, liczący około 1500 żołnierzy, został wysłany z Warszawy do Puszczy Kampinoskiej, aby zająć kwatery w Truskawiu i Sierakowie. Ich głównym zadaniem było niedopuszczenie do połączenia się sił Grupy „Kampinos” z powstańcami, ale próbowali także akcji ofensywnych, m.in. przez kilka dni bezskutecznie szturmowali umocnienia w rejonie osady Pocięcha bronię przez kompanię „Jerzyków” i szwadron ułanów. Dopuszczali się także rabunków i gwałtów na mieszkańcach okolicznych wsi.

Zaskakujący atak na Truskaw, przeprowadzony w nocy z 2 na 3 września, był majstersztykiem taktycznym por. Pilcha. Grupa szturmowa licząca ok. 80 ochotników uzbrojonych wyłącznie w broń maszynową obeszła wieś od południa i uderzyła od strony wschodniej, z kierunku, z którego nieprzyjacieli nie spodziewał się zagrożenia. Wachmistrz Józef Bylewski „Grom” tak wspominał przebieg tego starcia: „Krótka seria maszynowa poderwała własowców (tak mylnie nazywa ronowców autor relacji – przyp. KJ). Wyskakiwali z budynków, kręcąc się dookoła bez sensu – wchodząc naszym wprost pod lufy automatów. (...) Nawet się nie bronili. Albo nie otrzeźwiali jeszcze po wieczornej pijatyce, albo nie umieli zorientować się, co niespodziewanie wokół nich zaczęło się dziać. Chłopcy w okamgnieniu wykańczali ich i biegli dalej”. Przy stratach własnych wynoszących dziesięć poległych i dziesięciu rannych zabito ok. 200 ronowców i ok. 100 raniono, zniszczono kilka dział, 30 wozów amunicyjnych, zdobyto wiele broni i amunicji, w tym armatę polową kal. 75 mm. Idąc za ciosem, następnej nocy polscy partyzanci rozbili dwie kompanie



Tablica na murze kościoła św. Marii Magdaleny na warszawskim Wawrzyszewie upamiętniająca żołnierzy Grupy „Kampinos”

„RONA” w Marianowie. 15 września resztki tej formacji zostały wycofane z okolic Warszawy.

Niepodległa Rzeczpospolita Kampinoska

Dzięki aktywnym działaniom polskich partyzantów pod koniec sierpnia 1944 r. udało się całkowicie oczyścić z oddziałów niemieckich cały wschodni i centralny obszar Puszczy Kampinoskiej, zamieszkaną przez kilka tysięcy ludzi. „W tych granicach na każdym kroku wolność się spostrzegało i wolność się czuło. Ludność pozbyła się nękańcego ją od lat strachu” – wspominał Bronisław Piwowarczyk „Kazik”. Mieszkańcy wyzwolonych wsi i sami partyzanci jeszcze w czasie powstania zaczęli ten obszar nazywać Niepodległą Rzeczpospolitą Kampinoską. Jej nieformalną stolicą były Wiersze, gdzie ulokowana została kwatera główna zgrupowania i działała radiostacja Komendy Głównej AK.

Ruchliwość oraz aktywność partyzanckiej kawalerii sprawiły, że Niemcy znacznie przeceniali liczebność polskiego zgrupowania. Po rozbiciu pułku „RONA” ograniczyli się do ostrożnych działań zaczepnych i uszczelniania kordonu odcinającego Kampinos od walczącej stolicy. Mimo to do końca powstańczych walk

Ruchliwość oraz aktywność partyzanckiej kawalerii sprawiły, że Niemcy znacznie przeceniali liczebność polskiego zgrupowania

oddziały Grupy „Kampinos” przerzucały do Warszawy broń, amunicję, lekarstwa oraz żywność, głównie pochodzące z alianckich zrzutów lotniczych, które odbierano w czterech wyznaczonych placówkach na terenie puszczy.

Po klęsce poniesionej podczas ataku na Dworzec Gdański i rozprawieniu się z ronowcami dowódca Grupy „Kampinos” trzymał się dość literalnie nieco kunktatorskich i defensywnych rozkazów, jakie otrzymał z KG AK, nie decydując się na podjęcie poważniejszych działań dywersyjnych na tyłach wojsk niemieckich walczących w Warszawie. Dlatego część

badaczy uważa, że potencjał ofensywny silnego i dobrze uzbrojonego zgrupowania nie został w pełni wykorzystany. Faktem jest jednak, że Grupa „Kampinos” była jedynym zgrupowaniem AK, które zdołało przyjąć walczącą Warszawę z realną pomocą, płacąc przy tym olbrzymią daninę krwi (ok. 800 zabitych i kilkuset rannych) i niemal do końca powstania absorbować spore siły nieprzyjaciela. W sumie „leśni” powstańcy stoczyli blisko 50 bitew i potyczek. Dopiero pod koniec września Niemcy przeprowadzili wymierzoną w Rzeczpospolitą Kampinoską operację wojskową pod kryptonimem „Sternschnuppe” („Spadająca gwiazda”). Partyzanci opuścili kampinoskie ostępy i próbowali przebić się w Góry Świętokrzyskie, ale 29 września pod Jaktorowem, w jednej z największych bitew partyzanckich II wojny światowej, zostali otoczeni i rozbici. Był to m.in. rezultat fatalnego dowodzenia przez mjr. Kotowskiego, który w trakcie bitwy poniósł śmierć w tajemniczych okolicznościach, być może zastrzelony przez zdesperowanych i obwiniających go za zagładę jednostki podkomendnych. Pewnej części oddziałów polskich udało się jednak przebić przez pierścień wojsk niemieckich, w tym 50-osobowej grupie pod dowództwem por. „Doliny”. Kontynuowali walkę z Niemcami aż do stycznia 1945 r. /

FELIETON

Perfidne oszustwo Stalina



Paweł Łepkowski

Rozkaz o wybuchu powstania 1 sierpnia 1944 r. poprzedziły napływające do Warszawy wieści o błyskawicznym postępie wojsk sowieckich oraz radiowa komunistyczna propaganda.

Nadal uważam, że konsekwencją tej nieprzemyślanej decyzji było cierpienie setek tysięcy cywilów. Nie można jednak całej winy za to zrzucić na Komendanturę AK. Rozkaz o wybuchu powstania poprzedziły napływające do Warszawy wieści o błyskawicznym postępie wojsk sowieckich i polskich oraz katastrofalna w skutkach odezwa radiowa.

22 lipca 1944 r. miasto Chełm zajął 7. Pułk Piechoty AK w Obwodzie AK Chełm Lubelski, dopiero dzień później wkroczyły tam oddziały 1. Armii Wojska Polskiego. Tego samego dnia w tym mieście założono

Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego i ogłoszono przygotowany wcześniej w Moskwie Manifest Lipcowy PKWN. W Zamościu od kilku dni trwała walka z Niemcami zarządzona przez majora Stanisława Prusa, ps. Adam, komendanta zamojskiego inspektora AK. 25 lipca na rynku miasta odbyła się nawet defilada oddziałów AK. Dopiero dwie godziny później do tego miasta weszły oddziały 3. Gwardyj-skiej Armii gen. Wasilija Gordowa. Tego samego dnia w wyzwolonym Lublinie odbyła się defilada Wojska Polskiego. Dzień później Ryki zostały wyzwolone przez oddział Armii Krajowej pod dowództwem majora

Mariana Bernaciaka, ps. Orlik. 27 lipca wyzwolono Białystok, a 29 lipca podległy Stalinowi Związek Patriotów Polskich zaapelował przez Radio Moskwa do ludności Warszawy, żeby rozpoczęła powstanie, które ułatwi wyzwolenie stolicy przez inspektora i sowieckie wojska. „Dla Warszawy, która się nigdy nie poddała i nigdy nie ustąpiła w walce, godzina czynu wybiła – wzywał dramatycznym głosem polski lektor – przez bezpośrednią czynną walkę na ulicach Warszawy (...) nie tylko przyspieszymy chwilę ostatecznego wyzwolenia, ale ocalimy również majątek narodowy i życie naszych braci”. Następnego dnia

podobne wezwanie czterokrotnie wyemitowała podległa Sowietom polskojęzyczna Radiostacja im. Tadeusza Kościuszki: „Warszawa drży w posadach od ryku dział. Wojska radzieckie nacierają gwałtownie i zbliżają się do Pragi. Nadchodzą, aby przynieść nam wolność. (...) Ludu Warszawy! Do broni! Niech cała ludność stanie murem wokół Krajowej Rady Narodowej, wokół warszawskiej Armii Podziemnej. Uderzcie na Niemców! Udaremnijcie ich plany zburzenia budowli publicznych. Pomóżcie Czerwonej Armii w przeprawie przez Wisłę. Przysyłajcie wiadomości, pokazujcie drogi. Milion ludności Warszawy niech stanie się milionem żołnierzy, którzy wypędzą niemieckich najeźdźców i zdobędą wolność”.

Komunikat był jasny w swojej wymowie. Nie było żadnych powodów, żeby został błędnie zinterpretowany.

Przecież tego samego dnia do stolicy dotarła wiadomość, że Armia Krajowa wyzwoliła odległy o zaledwie 40 km Mińsk Mazowiecki. Komunikat zdawał się być oficjalnym wezwaniem dowództwa Armii Czerwonej do bezpośredniej walki z Niemcami. Nazwa Armii Krajowej oczywiście nie padła, ale określenie „warszawska Armia Podziemna” mogło być jednoznacznie kojarzone z największą konspiracyjną formacją zbrojną w okupowanym kraju.

Od 4 stycznia 1944 r. trwała już przecież akcja „Burza” zarządzona pod koniec 1943 r. przez komendanta głównego Armii Krajowej gen. Tadeusza „Bora” Komorowskiego. W myśl rozkazu nr 126 z 12 stycznia 1944 r. komendant główny Armii Krajowej nakazywał wsparcie Armii Czerwonej w walce z Niemcami. W Moskwie o tym doskonale

wiedzano. Zresztą 1 sierpnia przebywał tam z wizytą premier Stanisław Mikołajczyk, który powiadomił o pierwszych walkach Wandę Wasilewską. Początkowo Stalin udawał, że zamierza wesprzeć insurekcję, jednak w połowie sierpnia radykalnie usztywnił swoje stanowisko i w depezy do Winstona Churchilla napisał krótko: „Armia Czerwona nie weźmie ani bezpośredniej, ani pośredniej odpowiedzialności za wybuch warszawskiej awantury”. W ten oto sposób ośmieszył polskich komunistów. Pokazał, ile warte jest ich własne zdanie, i obnażył serwilizm komunistycznych kolaborantów pokroju Zofii Dzierżyńskiej, Jakuba Bermiana, Tadeusza Daniszewskiego czy Wandy Wasilewskiej. Niestety, nie tylko oni wyszli na głupców. Za posłuchanie tego haniebnego apelu radiowego najstraszliwszą cenę zapłacili Warszawiacy. /

ROZMOWA

Liczył się przede wszystkim człowiek

Krystyna Sierpińska, ps. Marzenka, sanitariuszka Batalionu AK „Kiliński”, 26 stycznia br. odeszła na wieczną wartę. W 2022 r. udzieliła nam wywiadu. Oto jego pełna i autoryzowana wersja.

ZOFIA BRZEZIŃSKA

Pani Krystyno, przyszła pani na świat w rodzinie inteligenckiej, w sielskim majątku w Wagańcu koło Nieszawy na Kujawach, w którym spędziła pani bezpiecznie i szczęśliwe dzieciństwo, brutalnie przerwane przez wybuch II wojny światowej. Jak wyglądała metamorfoza panny z dobrego domu w żołnierza Polski podziemnej?

Przeistoczenie „jaśnie panienki Krysi”, jak zwracano się do mnie w dzieciństwie, w sanitariuszkę AK „Marzenkę” rozpoczęło się wraz z pierwszymi bombami, jakie we wrześniu 1939 r. spadły na moją ojczyznę. Rozbiły one w proch cały mój mały ukochany świat. Strata niezwykle urokliwego dworku, z którego oczywiście natychmiast wyrzucili nas łasi na wszystkie atrakcyjne nieruchomości Polaków Niemcy, stanowiła i tak najmniejszą z nich. Nadal przecież byliśmy razem. Miałam przy sobie rodziców, a także siostrę Janinę i brata Jacka. Brakowało jedynie najstarszego brata Juliana, który znajdował się już wówczas w obozie jenieckim. Wkrótce jednak i nasza pozostająca na wolności rodzina zaczęła się rozpadać...

Pozbawieni domu i skazani wraz z tysiącami rodaków na przesiedlenie do Generalnej Guberni zaczęliśmy zastanawiać się, jak odbyć tę podróż w możliwie bezpieczny sposób. Postanowiliśmy udać się do Warszawy, gdzie mieszkali aż trzy moje ciotki – siostry mamy. Byliśmy pewni, że nie odmówią nam schronienia. Okazało się, że aby przekroczyć granicę między terenami włączonymi do Rzeszy a GG, będziemy potrzebować przepustki. Janina i Jacek zdecydowali się na nią nie czekać. Jako starsi ode mnie, młodzi i silni nastolatki, obawiali się, że podzielą los młodzieży masowo wywożonej do Niemiec na roboty przymusowe. Pod osłoną nocy przeszli przez zieloną granicę i szczęśliwie dotarli do stolicy. Nie pozostało nam nic innego, jak podążyć ich śladem. Niestety, zanim naszej rodzinie dane było znów się połączyć, doszło do tragedii. Mój tata wybrał się na posterunek Gestapo we Włocławku, aby odebrać dla mnie, mamy i siebie wspomniane przepustki. Akurat gdy przebywał w tym budynku, przysłano tam listę przedstawicieli okolicznej polskiej inteligencji, których rozkazano aresztować. Na pierwszym miejscu figurował mój ojciec – Julian Antoni Myszkowski, inżynier rolnictwa. Śmiejący się cynicznie gestapowiec oznajmił mu, że „ma dzisiaj pecha”. Oczywiście ojciec został zatrzymany na miejscu. Gdy długo nie wracał, poszliśmy z mamą na posterunek Gestapo, by sprawdzić, co się stało. To był sam początek okupacji i nikt jeszcze nie miał świadomości, czym właściwie jest Gestapo i do jakich potworności jest zdolne. Moja mądra mama miała jednak intuicję. Przed bramą posterunku zaproponowała, abym to ja sama weszła do środka. Liczyła, że dziecku nie stanie się żadna krzywda. Rzeczywiście wpuszczono mnie do celi ojca bez większych przeszkód. Na moich oczach jednak bezceremonialnie zrzucono ze schodów inną kobietę, która też widocznie przyszła zapytać o los jakiegoś aresztowanego krewnego. Gdy pod koniec pełnego emocji spotkania z ojcem pilnujący nas gestapowiec zapowiedział, że mój tata „pojedzie teraz do obozu uczyć się niemieckiej kultury”, nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam. Co to jest za kultura, która pozwala na takie traktowanie słabych i bezbronnych kobiet?!

Było to moje ostatnie spotkanie z tatą. Zmarł w obozie Mauthausen w listopadzie 1940 r. Urzędowe pismo sucho poinformowało nas, że przyczyną zgonu był zawał serca. Brakuje mi słów, aby opisać rozpacz mamy po otrzymaniu tej tragicznej informacji. Dodatkowo gnębiło ją całkiem nieuzasadnione poczucie winy. Otóż mama, jako pracownica Czerwonego Krzyża, często przychodziła na Gestapo i przynosiła więźniom żywność. Na przepustce miała wpisane swoje nazwisko plus dwie osoby do pomocy. Kilkakrotnie zdarzało się, że wchodziła jednak z jedną, a wychodziła oczywiście z dwiema. Na szczęście Niemcy nie zauważyli tej nieprawidłowości, a mamie udało się w ten sposób uratować z więzienia kilkoro wspaniałych Polaków, w tym dyrektorkę mojej szkoły, panią Degenową. Niestety, męża nie udało się mamie ocalić... Dołączyła do niego kilka miesięcy po jego śmierci. Mama cierpiała na raka trzustki. Nawet teraz jest to jeden z najgroźniejszych nowotworów, o szalenie wysokiej śmiertelności, a co dopiero wtedy! W 1941 r. zostałam już więc zupełną sierotą. Zawałił mi się świat. Wokół panował terror okupanta, a do uczucia żałoby po rodzicach dołączyło pragnienie walki, takiej pomieszczonej z rezygnacją desperacji. Pomimo wsparcia rodzeństwa i ciotek czułam, że zostałam zupełnie sama. Pomyślałam sobie: co mam jeszcze do stracenia?

Zanim doszło do wybuchu Powstania Warszawskiego, musiała pani przeżyć niezwykle mroczną noc okupacji. Jakie wydarzenia z tamtego okresu ukształtowały 15-letnią dziewczynę, która 1 sierpnia, z torbą pełną bandaży i środków medycznych, stanęła na barykadzie gotowa walczyć o życie rannych kolegów?

Strata rodziców była bez dwóch zdań najboleśniejszym z nich, ale niejedynym. Przypominam sobie zdarzenie z końca 1941 r. Trwała mroźna zima, a III Rzesza była już w stanie wojny z ZSRR. Pomimo tych ponurych okoliczności postanowiliśmy z przyjaciółką – dwie niesforne nastolatki – pojeździć na sankach. Obok dworca zatrzymali nas jednak Niemcy, którzy z jakichś powodów ubzdurali sobie, że podłożyliśmy miny na tory. Akurat miały przejeżdżać pociągi z zaopatrzeniem wojskowym na wschód. Zandarmi postawili nas pod ścianą i za każdym razem, gdy jeden z oczekiwanych pociągów przejeżdżał, repetowali broń. Dawali nam w ten sposób do zrozumienia, że jeśli którykolwiek z nich wyleci w powietrze – natychmiast zginiemy. Pamiętam, że stałam tam zupełnie zdrtęta z przerażenia i modliłam się, aby rzeczywiście ktoś z ruchu oporu nie podłożył tam żadnych materiałów wybuchowych. W myślach przepraszałam też żyjącą jeszcze wtedy mamę, że dopiero co straciła męża, a teraz być może będzie musiała pożegnać córkę... na szczęście jednak te feralne pociągi przejechały spokojnie, a mnie i koleżankę puszczono wolno. Jak już się oddalałyśmy, jeden z Niemców jeszcze raz głośno zarepetował broń – zapewne „dla żartu”.

Kolejne pamiętne spotkania z „nadludźmi” miałam już po śmierci mamy i po dołączeniu do konspiracji. Wciągnął mnie do niej brat Jacek, który w jej szeregach działał praktycznie od samego początku wojny. Chociaż starał się odsuwać ode mnie najbardziej niebezpieczne zadania, nie zawsze mu się to udawało. Pewnego razu dostałam rozkaz dostarczenia komuś z dowództwa przesłany z Londynu schemat budowy określonego rodzaju karabinu. Był to jedyny, niezwykle cenny



Krystyna Sierpińska (1929–2026), ps. Marzenka. W czasie powstania m.in. uratowała swego ciężko rannego brata Jacka. Wszyscy z rodzeństwa pani Krystyny walczyli w powstaniu i je przeżyli

egzemplarz. Przed wyjściem z domu owinełam go w biały papier – akurat znowu była zima – i gdyby zbliżali się do mnie Niemcy, planowałam rzucić go w śnieg tak, aby zlał się z nim i pozostał niezauważony. Na szczęście nie doszło do takiej konieczności. Innym razem zostałam zatrzymana w łapanie na Saskiej Kępie, z torbą pełną bibuły. Z duszą na ramieniu szłam za innymi nieszczęśliwymi do budy, zastanawiając się, jak znieść przesłuchania i tortury. Na szczęście w ostatniej chwili zatrzymał mnie dyskretnie jeden z Niemców i kazał się wycofać. Oczywiście posłuchałam go, jednocześnie podświadomie czekając na kulę w plecy za „próbę ucieczki”. Nic jednak takiego nie nastąpiło, a ten człowiek wyraźnie ulitował się nade mną. Dlaczego? Do dzisiaj się zastanawiam.

Jakie obowiązki miała pani podczas sierpniowego zrywu i jakie wspomnienia są najsilniejsze z tamtych dni?

Cóż, zanim w ogóle mogłam podjąć się jakichkolwiek obowiązków – czy to łączniczką, czy sanitariuszką, bo pełniłam obie te funkcje – musiałam swoje odczekać. Nie bardzo było mi to w smak, bo tak jak tysiące młodych Warszawiaków wprost rwałam się do walki, do wzięcia odwetu za pięć lat straszliwej niewoli! W pierwszych godzinach powstania przyniesiono mi jednak do opieki ranną koleżankę z oddziału, którą niechcący postrzelili w nogę czyszczący broń kolega. Dopiero po kilku dniach, gdy doszła do siebie, przemieściliśmy się obie do szkoły im. Górskiego przy ul. Hortensji. W piwnicach tej placówki ukrywali się cywile, urządzono

tam również powstańczy szpital. Było to też pierwsze miejsce, w którym bezpośrednio ujrzałam z bliska całe okropieństwo wojny. Mój pierwszy ranny powstaniec miał wyrwany z pleców kawał ciała. Opatrując go, byłam w stanie szoku i musiałam całą siłą woli zmuszać się do koncentracji. Po kilku dniach część piwnic uległa zawaleniu podczas bombardowania, a ja o mały włos nie zginęłam. Pełniłam właśnie dyżur, gdy z drugiego końca piwnic podeszła do mnie koleżanka, brzemenna Krysia. Pomimo że była w ciąży, nie chciała słyszeć o żadnej taryfie ulgowej i pracowała równie ciężko jak pozostałe sanitariuszki. Poprosiła mnie, abym przyszła na chwilę popilnować „jej” rannych, gdyż chciała odwiedzić męża. Zgodziłam się, wzięłam torbę sanitarną i poszłam. Ledwie tam dotarłam, usłyszałam ogromny huk i gwizd! Wszystko zaczęło się walić. Okazało się, że cały opuszczony właśnie przeze mnie fragment pomieszczenia zawalił się, a wszyscy, którzy się tam znajdowali, zostali zasypani. Natychmiast rzuciliśmy się ich odkopywać, ale niestety wielu z nich nie przeżyło... Innym bardzo silnym wspomnieniem jest chwila, gdy przyszło mi ratować od śmierci mojego ciężko rannego brata. Jacek był dowódcą plutonu. Musiałam wynieść go z szalenie niebezpiecznego miejsca, z okolic słynnej, nieustannie ostrzeliwanej barykady w Al. Jerozolimskich. Nie miałam nikogo do pomocy. Zdobywszy lejce, przesuwalam się na kolanach wzdłuż barykady, z trudem ciągnąc za sobą brata tym prowizorycznym „uchwytem”. Na szczęście udało się, a gdy dotarłam

w bezpieczne miejsce, natychmiast podbiegli koledzy, którzy wzięli Jacka i zanieśli go do szpitala. Pod tym względem miałam zresztą szczęście nie tylko w tej konkretnej sytuacji – cała trójka mojego rodzeństwa przeżyła, a każde z nas walczyło w powstaniu. Takie szczęście naszety nie zdarzało się w każdej rodzinie.

Kapitulacja powstania nie oznaczała końca cierpień powstańców i cywilów. Wszyscy musieli opuścić miasto. Jakie losy stały się pani udziałem po zakończeniu walk?

Po kapitulacji postanowiłam iść do niewoli wraz z moim oddziałem. To była naturalna decyzja – nie miałam już rodziców, a rodzeństwo także udawało się do obozów jenieckich. Jaką więc miałam alternatywę? Kiedy milczący i zrozpaczeni opuszczaliśmy miasto, podbiegła do mnie jakaś kobieta. Wręczyła mi klucz do piwnicy i zaproponowała, abym wzięła zgromadzoną tam żywność dla oddziału na drogę, bo jej się ona już nie przyda. Nie mogłam wprost uwierzyć, gdy zobaczyłam wewnątrz tej piwnicy! Od podłogi po sufit pomieszczenie nabite było jedzeniem: konserwami, workami z mąką, ziarnem... wystarczyłoby nam tego na całe powstanie, a tymczasem ranni umierali z głodu! A ta kobieta dobrze widziała, co się dzieje, i przez całe dwa miesiące głodowej gehenny stolicy nawet słowem się nie zająknęła o tym skarbie! Wpadłam wtedy w jakiś amok. Chociaż wychowywano mnie na ułożoną panienkę, w tamtej chwili w ogóle jej nie przypominałam. Krzyczałam na tę kobietę, padły też chyba jakieś przekleństwa. Uspokoiliam się dopiero, gdy odcignęli mnie koledzy...

na realizm socjalistyczny u aktora”. Tym stwierdzeniem zabił mi ćwieka! Co to znaczy realizm socjalistyczny u aktora? Nieopatrznie wypowiedziałam to pytanie na głos i w odpowiedzi usłyszałam, że jeśli nie rozumiem pojęcia realizmu socjalistycznego, to nie mam tutaj czego szukać. Nosłam się z zamiarem, aby podejść ponownie do egzaminu, ale życie zweryfikowało te plany. Zaczęłam pracować w Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego, poznałam mojego męża Edwarda... miałam więc czym się zająć i zapominałam o szkole teatralnej.

Niestety, „realizm socjalistyczny” nie zapomniał o mnie. Zostałam zatrzymana wraz z mężem przez UB już po naszym ślubie. W jakim szoku byłam, gdy okazało się, że ci bandyci wszystko o mnie wiedzieli! Nie tylko zresztą prawdziwe informacje, ale też wysane z palca bzdury. Ktoś „życzliwy” doniósł im na przykład, że rzekomo byłam kochanką ks. Szafrńskiego, zaangażowanego w ruch oporu przeciwko nowej władzy. Z kolei mojego męża „uczynny” funkcjonariusz przekonywał, iż może mu natychmiast załatwić rozwód, bo pewnie biedak nie miał świadomości, że wiąże się z „kimś takim”. Na szczęście jednak oszczędzono nam bicia i pozwolono odejść. Wiem więc, że mogło się to skończyć dużo gorzej, ale i tak te kilkanaście godzin spędzonych na UB należy do najboleśniejszych w moim życiu. Nie da się bowiem opisać strasznego uczucia, gdy traktuje cię jak wroga, przesłuchuje i upokarza Polak! Kontakt z Gestapo też był koszmarny, ale wtedy oprawcą nie był rodak. W moim przekonaniu jest to kolosalna różnica.



Sanitariuszki z pomocą powstańców opatrują rannego, sierpień 1944 r.

Trafiiliśmy do obozu w Lamsdorfie. Po ponad dwóch miesiącach przeniesiono nas do obozu Zeithain, w którym stwierdzono u mnie szkarlatynę i umieszczono w szpitalu. Zachowałam stamtąd wspomnienie o bardzo ludzkim i sympatycznym niemieckim lekarzu, który wkładał mi pod poduszkę cukierki. Niestety, z powodu choroby musiano ściąć moje długie warkocz. Niby śmieszne smartwienie w obliczu tylu tragedii, ale cóż... kobieta zawsze pozostaje kobietą. Muszę przyznać, że bardzo przeżyłam utratę włosów.

Uciekałam z tego obozu już po przejęciu go przez Sowietów. Ci dzicy i nieokrzesani ludzie nie budzili w nas zaufania, a w dodatku zabronili komukolwiek opuszczać obóz. A ja już miałam serdecznie dosyć jakichkolwiek zakazów i niewoli! Dlatego nocą wraz z koleżanką przecięłyśmy druty za latryną i uciekłyśmy. Po drodze spotkałyśmy innych Polaków, którzy też zmierzali do swojej ojczyzny. Wędrowaliśmy więc dalej razem, a do pociągu udało nam się dostać dopiero w okolicach Sieradza.

Chociaż członkowie AK byli w zdecydowanej większości bohaterami i patriotami, to niestety władze komunistyczne nie tylko nie traktowały ich stosownie, ale otwarcie prześladowały czy wręcz eksterminowały. Ta smutna rzeczywistość dotknęła również pani. W jaki sposób Polska Ludowa „odwdzięczyła się” pani za heroizm i walkę z nazizmem?

Zacząło się od przykrości, która spotkała mnie w czasie zdawania egzaminów do wymarzonej szkoły teatralnej. W ich trakcie egzaminator cynicznie stwierdził, że „publiczność nie patrzy na wdzięk kobiety, ale

Chociaż historia wymazała już Niemcy hitlerowskie i Rosję stalinowską z map świata, to nie wyeliminowała całkiem ludzkiego okrucieństwa, bezduszości i pazerności. Jakie uczucia towarzyszą pani – świadkowi i uczestniczce najkrwawszej wojny w historii ludzkości – gdy śledzi pani bieżące doniesienia z ogarniętej konfliktem zbrojnym Ukrainy?

Czuję się wtedy zupełnie jak ta 10-letnia Krysia, która w październiku 1939 r. obserwowała palenie przez Niemców Wielkiej Synagogi we Włocławku. Ze środka dobiegał płacz i lament ginących ludzi. Kiedy moja bona zorientowała się, że na to patrzę, szybko mnie zabrała, ale w mojej dziecięcej głowie nie przestawało kołatać się pytanie: „Dlaczego ci panowie podpalili synagogę?”. Takie to było dla mnie wstrząsające i niezrozumiałe.

Dziś, gdy słyszę o cierpieniach ukraińskich cywilów i zbrodniach Rosjan, czuję się podobnie. Chociaż jestem już zdecydowanie stateczną niewiastą, to towarzyszy mi tamto dawne dziecięce uczucie bezradności. Dlaczego po ziemi chodzą istoty o postaci i kształcie człowieka, ale naturze bliższej zwierzętom? Chociaż nawet zwierząt nie chcę w tym miejscu obrazić. Nigdy nie wyobrażałam sobie, że można z zimną krwią zabić człowieka. Nawet w trakcie powstania nie byłam do tego zdolna. Z pomagającym nam w szpitalu niemieckim jeńcem dzieliłam się moją racją żywnościową, a mógł to przecież być mężczyzna mający na sumieniu ciężkie zbrodnie. Nie miało to jednak dla mnie znaczenia – liczył się przede wszystkim człowiek. Jak można świadomie wyrządzać krzywdę bezbronnym kobietom i dzieciom?! W głowie mi się to nie mieści.

/©©

FELIETON

Krzywdy trzeba naprawić!



Paweł Łepkowski

Kiedy 1 sierpnia 1944 r. wybuchło Powstanie Warszawskie, jedynie w pierwszych dniach wzbudziło zainteresowanie światowej opinii publicznej.

Choć prasa amerykańska dość szczegółowo śledziła informacje napływające z walczącej Warszawy, to jednak zaczęły one ginąć wśród innych doniosłych wieści z frontu zachodniego. Po 15 sierpnia dla czytelników z półkuli zachodniej znacznie ważniejsze były doniesienia o lądowaniu wojsk amerykańskich w południowej Francji. Informacje o tym, która dzielnica Warszawy jeszcze się broni przed niemieckim naporem, musiały ustąpić radosnym wieściom płynącym spod Falaise, gdzie 21 sierpnia aliantom udało się zamknąć w kotle większość potężnej niemieckiej armii Normandia. Cztery dni później wolne narody radowały się wyzwoleniem Paryża i chaotyczną ucieczką Niemców z Belgii i Luksemburga. Cierpienia polskiej stolicy opisywała już głównie prasa polonijna. Nie oznaczało to, że świat nam nie współczuł, ale w ogromnej skali całego teatru wojennego II wojny światowej i jej rozstrzygającej fazy po otwarciu frontu zachodniego przez aliantów Powstanie Warszawskie wydawało się epizodem coraz mniej istotnym dla losów świata. Z punktu widzenia interesów strategicznych koalicji antyhitlerowskiej daleko ważniejsze od tego, co się działo w Warszawie, było chociażby zdymisjonowanie przez króla Michała premiera Rumunii Antonescu i wypowiedzenie Niemcom wojny po bombardowaniu Bukaresztu przez Luftwaffe.

Także zawieszenie broni pomiędzy Finlandią i ZSRR na początku września 1944 r., kiedy w Warszawie trwały ciężkie walki, było z punktu widzenia układu sił na mapie europejskiej znacznie bardziej istotne niż bohaterstwo mieszkańców polskiej stolicy. Nikt już nie chciał słuchać o tragedii miasta, gdy na pozostałych frontach III Rzeszy ponosiła klęskę za klęską. Przypominam o tym nie po to, żeby umniejszyć znaczenie powstania, w którym walczyli moi dziadkowie, ich bracia i krewni; w którym zginął ojczym mojej babci i brat mojego dziadka; w którym moja rodzina utraciła cały majątek i wszystkie pamiątki po swoich przodkach. Przypominam o tym, żeby nie pozwalać na marginalizowanie tego wydarzenia we współczesnej historiografii. Powstanie Warszawskie było okupione zbyt straszną ceną, żeby można je było dzisiaj marginalizować na kartach historii, w historycznych publikacjach – tak samo jak w prasie zachodniej latem 1944 r. Z niepokojem nie odnajduję w wielu dziełach historyków II wojny światowej nawet wzmianki o warszawskiej insurekcji.

Peter Longerich, uznany niemiecki historyk, w biografii Goebbelsa „Apostoł diabła” (2014) nie wspomina nawet słowem o tym, co działo się w Warszawie po 1 sierpnia 1944 r. Podobnie inny, równie wybitny niemiecki historyk Volker Ullrich, którego warsztat historyczny szczerze podziwiam, niestety całkowicie pomija tragedię polskiej stolicy. Kiedy w jego książce z 2021 r. „Hitler. Upadek zła 1939–1945” dochodzimy do sierpnia 1944 r., znajdujemy tam akapity poświęcone konferencjom Speera i dylematom Hitlera wokół kolportażu czasopism wojennych przez Pocztę Niemiecką. Temat walki i zagłady europejskiej stolicy jest całkowicie pominięty. Czy tak znakomity historyk jak Volker Ullrich nie wie, że między 5 a 7 sierpnia 1944 r. oddziały zbrodniarza wojennego generała Reinera Stahela na osobisty rozkaz Hitlera zamordowały ok. 65 tys. mieszkańców Woli? Większość historyków uważa, że była to największa jednorazowa zbrodnia na ludności cywilnej w czasie II wojny światowej i być może jedna z największych zbrodni tego typu w dziejach świata. I w tym przypadku nie ma najmniejszej wątpliwości, że rozkaz do tej rzezi wydał osobiście niemiecki kanclerz.

Ala nie tylko niemiecka historiografia skrupulatnie pomija ten temat. Czynią to także niemieckie media, niemieckie podręczniki szkolne i niemieccy politycy, którzy postanowili załatwić problem zagłady narodu polskiego, wyniszczenia jego kultury i rozkradzenia majątku narodowego postawieniem jakiegoś haniebnego kamienia w miejscu dawnej Opery Krolla w Berlinie.

Zadaję im zatem po raz kolejny pytanie: kiedy zapłacicie odszkodowania za napaść i swoje zbrodnie popełnione w Polsce w latach 1939–1945? To pytanie nie ma na celu budzić demony przeszłości i rozpalać emocje. To nie jest pytanie krzywdzące nowe pokolenia wolnych Niemców, ale upomnienie się o elementarną zasadę prawa rzymskiego obowiązującą w cywilizowanym świecie: szkody wyrządzone poszkodowanemu należy naprawić niezależnie od upływu czasu.

/©©

POWSTANIE WARSZAWSKIE

Churchill i Roosevelt mogli zorganizować skuteczną pomoc lotniczą dla powstania nawet bez współpracy z Sowietami. To znacznie zwiększyłoby szanse polskiego zrywu.

HUBERT KOZIEL

Jan Nowak-Jeziorański stwierdził, że alianckie zrzuty broni i amunicji dla Powstania Warszawskiego miały dużo większe znaczenie strategiczne niż spora część wypraw bombowych skierowanych nad Niemcy. Im dłużej bowiem powstańcy walczyli, tym dłużej stał najważniejszy odcinek frontu wschodniego, a Sowietci tracili bezcenny czas, który mogliby wykorzystać na zajęcie większej części Niemiec przed aliantami zachodnimi. Mimo to, analizując kwestię zrzutów, wciąż można odnieść wrażenie, że operacja o tak ważnych skutkach strategicznych była przez brytyjskie i amerykańskie władze traktowana jak trzeciorzędna misja. Gen. Kazimierz Sosnkowski, naczelny wódz, mówił w swojej odezwie na początku września 1944 r.: „Brak pomocy dla Warszawy tłumaczyć nam pragną rzeczoznawcy racjami natury technicznej. Wysuwane są argumenty strat i zysków. Skoro jednak obliczać trzeba, to przypomnieć musimy, że lotnicy polscy w bitwie powietrznej o Londyn ponieśli ponad 40 proc. strat, 15 proc. samolotów i załóg zginęło podczas prób dopomożenia Warszawie. Strata 27 maszyn nad Warszawą, poniesiona w ciągu miesiąca, jest niczym dla lotnictwa Sprzymierzonych, które posiada kilkadziesiąt tysięcy samolotów wszelkiego typu i rodzaju”.

Z dymem pożarów

W sierpniu 1944 r. Luftwaffe dysponowała nad środkową Wisłą około 400 samolotami. Przeciwno sobie miała wspierającą sowiecki 1. Front Białoruski 6. Armii Lotniczą dysponującą 1465 samolotami bojowymi. Sowieckie lotniska położone znajdowały się w odległości od 50 do 160 km od Warszawy. Mimo to samoloty z czerwoną gwiazdą od wybuchu powstania aż do 13 września 1944 r. nie pojawiały się nad polską stolicą. Gdyby się pojawiły, to powolne niemieckie bombowce nurkujące Ju-87 nie mogłyby już bezkarnie obracać miasta w gruzy, gdyż zostałyby szybko zmasakrowane. Sowietci nie zamierzali jednak ruszyć palcem w obronie „faszystów z AK”. Gdy 5 sierpnia 1944 r. Brytyjska Misja Wojskowa w Moskwie dostarczyła dowództwu Armii Czerwonej prośbę o zorganizowanie zrzutów broni dla powstańców, spotkała się z milczeniem. „Nie obchodzi nas los walczących powstańców, którzy nie uznają władzy komunistycznej. Dla nas nie są oni lepsi od Niemców i tym lepiej, jeżeli oni i Niemcy wzajemnie się mordują” – powiedział 15 sierpnia Stalin amerykańskiemu ambasadorowi Averellowi Harrimanowi.

Tymczasem już od 1 sierpnia płynęły od dowództwa AK do Londynu i Brindisi (bazy polskiej 1586. Eskadry Specjalnego Przeznaczenia) dramatyczne prośby o pomoc. Polska eskadra bombowców dowodzona przez mjr. Eugeniusza Arciukiewicza zajmowała się lotami specjalnymi do kraju (a także do Jugosławii i Grecji), w tym zrzutami broni dla AK, przerzutem cichociemnych i kurierów oraz wywiezieniem z Polski części raket V2. Od kwietnia 1944 r. mocno zintensyfikowała swoje działania, skutkiem czego jej załogi były przemęczone, a sprzęt mocno wyeksploatowany. Wieść o wybuchu powstania w Warszawie sprawiła jednak, że jej piloci rwali się do pomocy stolicy. Sceptycznie na możliwość organizacji lotów zrzutowych zapatrywał się jednakże gen. John Slessor, szef Lotnictwa Przybrzeżnego w rejonie Morza Śródziemnego i Bliskiego Wschodu, któremu podlegała 1586. Eskadra. Warszawa znajdowała się na granicy zasięgu czterosiłnikowych liberatorów i halifaxów startujących z Brindisi. Musiały one pokonać w obie strony łącznie blisko 3000 km, w trakcie 11–13 godzin lotu nad trzema strefami klimatycznymi, bez osłony myśliwców.

Slessor, na polecenie Winstona Churchilla, nakazał 4 sierpnia zorganizować wyprawę 14 samolotów mających dokonać zrzutów – ale nie nad Warszawą, tylko... nad Małopolską. W efekcie Gen. Stanisław Tatar, zastępca szefa Sztabu Naczelnego Wodza ds. krajowych, ppłk Marian Dorotycz-Malewicz „Hańcza” i major Jazwiński, dowódcy polskiej bazy przerzutowej w Brindisi, nakazali jednak czterem polskim załogom, by

w tajemnicy przed Brytyjczykami dokonali zrzutów nad Warszawą. Jedna z polskich załóg, zaatakowana przez niemiecki myśliwiec, musiała przerwać misję, ale pozostałe trzy dokonały udanych zrzutów nad Warszawą. Wściekle brytyjskie dowództwo zakazało dalszych lotów nad Polskę. Slessor, pod naciskiem Churchilla, wydał pozwolenie na wyprawę zrzutowe 8 sierpnia, ale w misjach tych mogli brać udział jedynie ochotnicy. Tego dnia poleciały nad Warszawę trzy samoloty, a ich misja zakończyła się sukcesem. W nocy z 9 na 10 sierpnia pięć samolotów dokonało zrzutów nad Puszczą Kampinoską. Potem zakazano na kilka dni misji ze względu na złą pogodę. Brytyjcy decydenci uznali, że to na Sowietach powinien leżeć największy ciężar wsparcia dla powstania, gdyż to Armia Czerwona miała ku temu największe możliwości. 12 sierpnia Churchill napisał więc do Stalina, że powstańcy z Warszawy „Błagają o karabiny maszynowe i amunicję. Czy nie może Pan udzielić im dalszej pomocy, odległość bowiem z Włoch jest bardzo duża?”. Stalin kłamliwie odpowiedział 16 sierpnia, że kazał sowieckiemu lotnictwu, by „intensywnie zrzucało uzbrojenie w rejon Warszawy”.

Zrzuty alianckie wznowiono 12 sierpnia. Spośród 11 samolotów (pięciu polskich i sześciu brytyjskich) zawrócić musiały cztery, ale reszta przeprowadziła misję z sukcesem. Po interwencjach Churchilla w nocy z 13 na 14 sierpnia oraz z 14 na 15 sierpnia nad Warszawę poleciało łącznie 51 samolotów brytyjskich z Dywizjonów 148. i 18., 31. Dywizjonu Południowoafrykańskiego i polskiej 1586. Eskadry. Zginęło pięć załóg brytyjskich, pięć południowoafrykańskich i jedna polska (jedna z zestrzelonych

maszyn, brytyjski liberator, rozbiła się w Jeziorze Kamionkowskim na Pradze). Kilka samolotów było poważnie uszkodzonych, a 30 proc. zrzutów spadło na tereny kontrolowane przez Niemców. Po tych zdarzeniach Slessor znów wydał zakaz lotów nad Warszawę, ale podczas kolejnych operacji zrzuty wykonywano nad Kampinosem, Lasami Chojnowskimi i Lasem Kabackim (jedna polska załoga dokonała samowolnie zrzutu w centrum Warszawy). W nocy z 10 na 11 września dokonano znów planowych zrzutów nad Śródmieściem, Mokotowem i Kampinosem, tracąc pięć załóg na 20 wysłanych. Dwa liberatory z polskimi załogami wykonały później zrzuty nad Śródmieściem (w nocy z 13 na 14 września), a ostatni zrzut nad Kampinosem odbył się z 21 na 22 września.

Loty nad Warszawę były wyjątkowo trudne nie tylko ze względu na ich długość i brak osłony myśliwców. Płonąca Warszawa była widoczna dla załóg już z odległości 140 km, a 15 km od celu do kabin dostawał się dym znad miasta. Musiano zniżać lot do około 150 m i zrobić na tej wysokości nawet kilka kół nad Warszawą. Wokół rozrywały się pociski niemieckiej artylerii przeciwlotniczej i przelatowały smugi pocisków z broni maszynowej. „Wysokość 50 m nad ziemią. Ktoś pyta, czy dolecimy do bazy... Po chwili na wschód od nas odsłania się panorama płonącej Warszawy. Rozpoznajemy rozżarzony szkielet Dworca Głównego, za nim, nieco dalej, widać wśród ognia wysmukły Prudential. Myślę o moich bliskich, którzy są w tym ogniu. Tam wśród walczących jest Lula... Na Żoliborzu ciocia Marynia... Z obu stron, dość wysoko nad nami, krzyżują się reflektory...

Wyrażamy nadzieję, że nie położą się tak nisko, by nas złapać... W tym samym momencie chwyciły nas. Przed nosem naszego grata leci gęsty rój pocisków świetlnych. Samolot jakby przepadł. Pomyślałem, że zaraz rąbniemy w ziemię. Mam wrażenie, że grad wali po tylnej części kadłuba... Zhłudzenie! To Janek Gieraga odpowiada ze swoich czterech karabinów maszynowych. I znów ciemno i spokój. Kurs 090°. Widzę ulice, ale nie widzę żadnego ognia. Kurs 160°. Pod nami więcej ulic i domów... i morze płomieni. Jak tu rozzebrać sygnały w tym ogniu? Horyzont jest bardzo mały, ognista luna przesłania wszystko, co znajduje się nieco dalej. Oceniam, że gdzieś w pobliżu musi być Ogród Krasińskich...” – pisał Antoni Zagórski, nawigator jednego z halifaxów polskiej eskadry.

W ochotniczych lotach nad Warszawę wielką odwagą wykazywali się nie tylko piloci polscy, ale też brytyjscy, australijscy, nowozelandzcy, kanadyjscy, południowoafrykańscy (był wśród nich też jeden pilot formalnie służący w siłach zbrojnych Konga Belgijskiego). Lecieli z pomocą nad miasto, o którym często nigdy wcześniej nie słyszeli. „Spośród pożarów wybuchały coraz to nowe języki ognia, a rozchwieane odbicia płonących budynków pelzały po rzece. Piekło nie może budzić większego przerażenia. Poczulem suchość w ustach, a serce przeszło mi zimny lęk” – wspominał sierżant Michael Cauchi, strzelec pokładowy liberatora z południowoafrykańskiego dywizjonu. Bardzo symboliczne było to, że ochotniczy udział w lotach nad Warszawę brał też 52-letni gen. Ludomił Rayski, przedwojenny „sanacyjny” dowódca polskiego lotnictwa.

Puste niebo nad Warszawą



EUGENIUSZ ŁOKAŃSKI „BRUK”/MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO



Grupa powstańców z kompanii „Janusza” Batalionu „Harnaś” oglądająca na podwórzu kamienicy przy ul. Świętokrzyskiej 20 brytyjski granatnik przeciwpancerny PIAT. Warszawa, 23 sierpnia 1944 r.

EUGENIUSZ ŁOKAŃSKI, BROK / MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO



WACŁAW ŁOŃ, KUPIEC / MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Posterunek na dachu kamienicy przy ul. Marszałkowskiej 71 – oczekiwanie na zrzuty. Siedzą od lewej: Tadeusz Więckowski „Czumak”, Wacław Łoń „Kupiec”, Adam Mickiewicz „Adam”

Bazy lotnicze w okolicach Połtawy

Winston Churchill, naciskany przez prezydenta Raczkiewicza i premiera Mikołajczyka, wielokrotnie apelował do Stalina o udzielenie lotniczej pomocy powstaniu. Robił to jednak zawsze tak, by w żaden sposób nie urazić sowieckiego dyktatora. 20 sierpnia wspólnie z prezydentem USA Franklinem Rooseveltem napisał list do Stalina, w którym padły słowa: „Mamy nadzieję, że zrzucicie Polakom – patriotom warszawskim – najbardziej niezbędne zaopatrzenie i uzbrojenie lub może zgodzi się Pan pomóc naszym samolotom, by uczyniły to bardzo szybko?”. Tak się składało, że od lutego 1944 r. Amerykanie korzystali z trzech sowieckich baz lotniczych wokół Połtawy, na których lądowały ich bombowce realizujące misje przeciwko rumuńskiemu zagłębiu naftowemu Ploeshti oraz innym celom w Europie Środkowo-Wschodniej (misje te miały kryptonim „Frantic”). Amerykański ambasador Harriman robił wiele, by uzyskać od Sowietów zgodę na wykorzystanie tych baz dla celów amerykańskich wypraw zrzutowych nad Warszawę. Napotkał jednak wrogie reakcje, a Departament Stanu w Waszyngtonie zwracał mu uwagę, by nie drażył tego tematu, bo zagrazi misjom „Frantic”. Churchill próbował namówić Roosevelta, żeby wysłał amerykańskie „latające fortece” (bombowce B-17) nad Warszawę i kazał im lądować pod Połtawą, stawiając Sowietów przed faktem dokonanym. Niestety, Roosevelt zignorował ten plan.

W połowie września Stalin zgodził się jednak na wykorzystanie baz w Połtawie dla pomocy Warszawie. 110 amerykańskich B-17 wystartowało w ramach operacji „Frantic VII” z brytyjskich lotnisk, a eskortowały ich 154 myśliwce P-51 Mustang. Trzy bombowce zawróciły, jeden rozbił się z powodu awarii, stracono dwa myśliwce, a zestrzelono cztery niemieckie. Straty były więc bardzo niskie. Nad Warszawą zrzucono z wysokiego pułapu 1170 zasobników (w których były: 102 granatniki przeciwpancerne PIAT, 390 erkaemów, 2987 pistoletów maszynowych, ponad 7 tys. granatów, ponad 7 ton materiałów wybuchowych, amunicja, żywność, leki i koce). Niestety, aż 70 proc. zrzutu dostało się w ręce niemieckie (oficerowie jednej z dywizji SS przebroili się po tym w colty 1911). Planowano również operację „Frantic VIII”, która miała odbyć się pod koniec września. Została jednak odwołana z powodu przedczesnych informacji o upadku powstania.

Ogółem w trakcie powstania nad Warszawę leciało z pomocą 306 bombowców alianckich, w tym 110 amerykańskich, 91 polskich, 55 południowoafrykańskich i 50 brytyjskich. Stracono 36 załóg, z czego 16 polskich. Zrzucono około 200 ton zaopatrzenia, z czego powstańcy odebrali do 104 ton.

W połowie września rozpoczęły się sowieckie zrzuty dla Warszawy realizowane przez 9. Gwardyjską Dywizję Nocnych Bombowców i polski 2. Pułk Nocnych Bombowców „Kraków”. Oficjalnie (wg absurdalnie zawyżonych sowieckich danych) zrzuciły one 150 ton zaopatrzenia, w tym m.in.: 1 działko 45 mm, 150 moździerzy, 505 rusznic przeciwpancernych, 1478 pistoletów maszynowych, ponad 40 tys. granatów, ponad 1 mln nabojów (niepasujących do powstańczej broni, będącej głównie pochodzenia niemieckiego) i ponad 100 tys. kg żywności. Ładunki zrzucano jednak w workach, bez spadochronów, w efekcie 80 proc. z nich rozstrzaskiwało się i nie nadawało do użycia. „Worki zbożowe, broń, pepesze, amunicja, rusznice ppanc. z amunicją. To jest precyzyjny sprzęt! (...) A bez spadochronów dochodziły śmieci. To była czysta propaganda. W workach znajdowały się głównie suchary z razowego chleba, kasza jaglana i... amerykańskie konserwy, otrzymywane przez ZSRS od rządu USA w ramach programu lend-lease. Dodatkowym »urozmaiceniem« był biały tłuszcz niewiadomego pochodzenia, zwany przez powstańców »małpim« – wspominał Ryszard Zagórski, pilot 2. Pułku Nocnych Bombowców „Kraków”.

Gra pozorów

Kajetan Bieniecki w książce „Lotnicze wsparcie Armii Krajowej” wskazuje, że alianci nie musieli korzystać z baz na Ukrainie, żeby zorganizować skuteczne wyprawy zrzutowe dla Warszawy. Trasa z lotnisk w Anglii do Warszawy i z powrotem to 2720 km, tylko 320 km więcej niż w wariantcie z lądowaniem pod Połtawą. B-17 mogły ją pokonać z dodatkowymi zbiornikami paliwa. Amerykanie mogli też lądować w bazie w Apulii (2620 km) lub na wyspie Vis na Adriatyku (2440 km). W czerwcu 1942 r. alianckie bombowce latały z baz w Egipcie nad Rumunię, a stamtąd do Syrii (3100 km), a później z baz libijskich do Ploeshti i z powrotem (3200 km). „Twierdzenie (...), że Warszawa była poza zasięgiem amerykańskiego lotnictwa strategicznego, w świetle wyżej

przytoczonych przykładów, jest trudne do przyjęcia” – pisze Bieniecki.

Szymon Nowak w książce „Warszawa 1944. Alternatywna historia Powstania Warszawskiego” zwraca uwagę, że przeprowadzenie dużych wypraw zrzutowych, podobnych jak „Frantic VII”, pozwoliłoby zaopatrzyć powstańców – w kluczowych dniach zrywu – w duże ilości broni przeciwpancernej, przeciwlotniczej i amunicji. „Nieprzyjacielskie czołgi, działa szturmowe, a nawet goliaty czy borgwardy nie zapuszczałyby się w pobliże polskich barykad lub stanowisk powstańczych w bocznych kamienicach. Przy każdym zbyt bliskim podejściu do polskich stanowisk Niemcy musieliby się liczyć z otrzymaniem celnego strzału z piata” – wskazuje Nowak. Broń i amunicja dostarczane ze zrzutów mogłyby stać się również zagrożeniem dla nisko latających niemieckich sztukasów. Powstańcy dowódcy zakazywali do nich strzelać ze względu na konieczność oszczędzania amunicji. Gdyby jednak dostali przystosowane do prowadzenia ognia przeciwlotniczego erkaemy bren, niemieckie samoloty nie latałyby już aż tak bezkarnie nad Warszawą.

Opracowania poświęcone Powstaniu Warszawskiemu mówią, że żołnierze AK poszli w bój niedostatecznie uzbrojeni. Według płk. Adama Borkiewicza Okręg Warszawski AK posiadał 1 sierpnia 1944 r. na stanie uzbrojenia: 3846 pistoletów, 2629 karabinów, 657 pistoletów maszynowych, 145 erkaemów, 47 cekaemów, 30 miotaczy ognia, 29 karabinów, rusznic i wyrzutni przeciwpancernych, 16 moździerzy i granatników, 2 działa przeciwpancerne, blisko 44 tys. granatów i 416 granatów przeciwpancernych, około 12 tys. butelek zapalających i 1266 kg materiałów wybuchowych. To wszystko dla 36,5 tys. ludzi gotowych do akcji w Godzinie „W”. Aby dobroić tych żołnierzy, musiało wydawać im siekiery, kosy, kilofy i łomy, i liczyć na broń zdobytą na wrogu.

A gdyby np. w pierwszym lub drugim tygodniu sierpnia została zorganizowana przez aliantów podobnie wielka wyprawa zrzutowa nad Warszawę jak „Frantic VII”? Gdyby na terenie opanowane przez powstańców spadły zasobniki z blisko 3 tys. pistoletów maszynowych, ponad setką piatów i 7 tonami materiałów wybuchowych? Pamiętajmy, że siły powstańcze górowały liczebnie nad niemieckimi, a przy tym doskonale znały teren, na którym walczyły. Po odpowiednim dozbrojeniu mogłyby zdobyć lokalną przewagę nad stosunkowo słabo wyszkolonymi siłami z niemieckich jednostek

”
Alianccy przywódcy uchylali się od udzielenia wszelkiej realnej pomocy dla powstania. Żeby nie narażać się Stalinowi, wybrali grę pozorów

policyjnych, nad kryminalistami z karnej Dywizji SS Dirlewangera i nad pijaną rosyjskojęzyczną hordą z Brygady „RONA”. „Gdyby oddziały powstańcze, odpowiednio uzbrojone i wyposażone, powstrzymały napór wroga, być może nie doszłoby do apokaliptycznych zbrodni niemieckich w zachodnich dzielnicach miasta. A może sam Stalin, widząc co noc zrzuty spadochronowe, zmieniłby decyzję i nad Warszawą sowieckie Po-2 pojawiłyby się nie 13 września, a miesiąc wcześniej?” – pisze Szymon Nowak.

Alianci z jakiegoś powodu (zapewne czysto politycznego) tej szansy jednak nie wykorzystali. Kluczylili zresztą też choćby w kwestii uznania żołnierzy AK za kombatantów chronionych przez konwencję genewską. Polskie podziemie prosiło ich o taką deklarację przed powstaniem, ale z obawy o reakcję Sowietów brytyjskie i amerykańskie władze ogłosiły ją dopiero 30 sierpnia, co po paru dniach Niemcy przyjęły do wiadomości. Brytyjski minister spraw zagranicznych Anthony Eden zablokował nawet wniosek lorda Vansittarta, by na posiedzeniu parlamentu zagrozić Niemcom odwetowym bombardowaniem Berlina będącym karą za zbrodnie popełnione w Warszawie.

Alianccy przywódcy uchylali się od udzielenia wszelkiej realnej pomocy dla powstania. Żeby nie narażać się sowieckiemu dyktatorowi, wybrali grę pozorów, której skutkiem była nie tylko hekatomba Warszawy, ale również śmierć 189 alianckich i polskich pilotów. Odwiedzając warszawskie pomniki poświęcone zestrzelonym lotnikom niosącym pomoc powstaniu, powinniśmy pamiętać, że zginęli oni też przez postawę Roosevelta, Edena i Slessora. /@

POWSTANIE WARSZAWSKIE



23 sierpnia 1944 r.,
ul. Czackiego róg
Świętokrzyskiej.
Powstańcy schodzą
ze stanowisk
po zdobyciu Komendy
Policji i kościoła
Św. Krzyża
przy Krakowskim
Przedmieściu

J. JODKOWICZ / MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Konspiracyjny przemysł zbrojeniowy Polski Podziemnej

Polski ruch oporu stworzył największy w okupowanej Europie system konspiracyjnej produkcji broni i sprzętu. Ten niezwykle wysiłek techniczny i organizacyjny stanowił jeden z fundamentów uzbrojenia AK podczas powstania.

MAREK KUTARBA

Kłęska Polski we wrześniu 1939 r. oznaczała przejście przez Niemcy całego dorobku polskiego przemysłu zbrojeniowego, budowanego przez lata II RP z ogromnym wysiłkiem finansowym i organizacyjnym. Podobnie jak wcześniej w przypadku przemysłu czeskiego (po aneksji w 1938 r.), niemiecki okupant przeprowadził konsekwentną eksploatację i germanizację zakładów przemysłowych. Do wiosny 1942 r. Niemcy skonfiskowali około 230 tys. polskich firm produkcyjnych i handlowych oraz wywłaszczyli 187 tys. nieruchomości miejskich. Wielkie koncerny zbrojeniowe, takie jak Krupp AG, IG Farben czy Steyr-Daimler-Puch, przejęły kontrolę nad kluczowymi obiektami przemysłowymi, przekształcając je w ognia niemieckiego aparatu wojennego. Jednocześnie około dwa miliony Polaków skwiczono do pracy przymusowej w Rzeszy, zapewniając tym samym siłę roboczą dla niemieckiego przemysłu wojennego.

Broń i amunicja polskiego ruchu oporu

Paradoksalnie ta sama polska siła robocza, wykorzystywana przez Niemców w przejętych zakładach zbrojeniowych, stała się trzonem najbardziej rozbudowanego w okupowanej Europie systemu konspiracyjnej produkcji zbrojeniowej. Polscy specjaliści, inżynierowie i robotnicy potajemnie przekazywali materiały, komponenty oraz wiedzę techniczną, tworząc arsenał polskiego ruchu oporu.

Sieć produkcyjna była rozproszona w całym kraju, ze szczególnym skupieniem w Warszawie, gdzie powstawało około 80 proc. wytwarzanej przez polski ruch oporu broni i amunicji. Produkcja odbywała się w setkach małych warsztatów, w których części wytwarzano osobno, a potem montowano w innych miejscach, co zwiększało bezpieczeństwo całej organizacji.

Produkcję nadzorowali doświadczeni specjaliści, m.in. inżynier Witold Gokieli „Ryszard” oraz zespoły techniczne pod kierownictwem m.in. prof. Dionizego Smoleńskiego.

Zaopatrzenie w surowce pochodziło m.in. z kradzieży w niemieckich fabrykach, zrzutów alianckich, a także z handlu na czarnym rynku. Opracowano przy tym wiele innowacyjnych rozwiązań technicznych i organizacyjnych, takich jak nowe metody maskowania elementów broni oraz modularna konstrukcja umożliwiająca produkcję wymiennych części w różnych lokalizacjach. Ta imponująca skala konspiracyjnej produkcji broni i amunicji była odpowiedzią na dramatyczny niedobór uzbrojenia, na który cierpiał polski ruch oporu. Mimo że istotnym elementem zaopatrzenia była zdobyczna broń, własna produkcja miała dla polskiego podziemia olbrzymie znaczenie. Przez cały okres okupacji broni nigdy nie było wystarczająco dużo, aby wyposażać wszystkich żołnierzy, dlatego prowadzona w surowych warunkach miejskiej partyzantki chałupnicza produkcja miała istotne znaczenie.

Cały ten imponujący arsenał konspiracyjnej produkcji miał znaleźć swoje praktyczne zastosowanie w największym zrywie zbrojnym polskiego podziemia, gdy 1 sierpnia 1944 r. żołnierze Armii Krajowej ruszyli do szturm na niemieckie pozycje w okupowanej Warszawie.

Niedobory powstańczego uzbrojenia

Trzeba wyraźnie podkreślić, że pomimo heroicznej mobilizacji oraz ogromnego zaangażowania zgromadzone przed wybuchem Powstania Warszawskiego zapasy broni, również tej pochodzącej z podziemnej produkcji, okazały się niewystarczające. Szczególnie że w drugiej połowie lipca 1944 r.

Niemcom udało się zlikwidować kilka konspiracyjnych magazynów powstańczej broni i amunicji. W wyniku tych działań utracono m.in. około 78 tys. granatów oraz ok. 170 z ok. 200 posiadanych miotaczy ognia. W obliczu represji i obaw przed „wspą”, utracono kontakt z niektórymi magazynierami, którzy się ukryli. W efekcie nie wykorzystano 678 pistoletów maszynowych wraz z ok. 60 tys. sztuk amunicji do nich, przechowywanych w magazynie przy ulicy Leszno 18, a który ujawniono dopiero po wojnie, w 1947 r.

W konsekwencji niedobór uzbrojenia stanowił poważny problem już od pierwszych dni powsta-

nia. Zgromadzone zapasy były na tyle nieduże, że broni wystarczało dla jednego na dziesięciu powstańców – karabinów było jedynie ok. 2 600, a ciężkich karabinów maszynowych około 190, w tym lekkich i ciężkich karabinów maszynowych łącznie 47. Dostępnych było też około 650 pistoletów maszynowych oraz 29 karabinów przeciwpancernych i miotaczy przeciwpancernych typu PIAT. Powstańcy dysponowali także zaledwie sześcioma moździerzami, dziesięcioma granatnikami, dwoma działkami przeciwpancernymi i 30 miotaczami ognia. Ponadto zapas pistoletów i rewolwerów wynosił około 3 800 sztuk, a ręcznych granatów było niespełna 44 tys. Powstańcy mieli także do dyspozycji ponad 400 granatów przeciwpancernych, 1266 kilogramów materiałów wybuchowych oraz około 12 tys. butelek zapalających – podstawowego środka walki w miejskiej partyzancie. Tymczasem ocenia się, że w walkach powstańczych stale uczestniczyło ok. 25–28 tys. powstańców.

Niewielki był też zapas amunicji strzeleckiej. Przyjmuje się, że mogło jej wystarczać na dwa-trzy dni intensywnej walki. Dowództwo Armii Krajowej miało nadzieję, że te niedobory uda się uzupełnić przede wszystkim bronią i amunicją zdobyczną, jednak równocześnie nie zaniedbywano własnej produkcji, która była istotnym elementem zaopatrzenia powstańców.

Granaty nie tylko z powstańczych warsztatów

W pierwszych dniach walk powstańczych działały liczne warsztaty zajmujące się produkcją granatów i butelek zapalających. I tak np. przy ul. Świętojańskiej 10 inżynier-chemik sierżant Hipolit Iwanik „Winiak” (przed wojną pracownik zakładów włókien chemicznych) zorganizował pracownię, w której powstawały granaty zaczepne na bazie azotanu sodu, węgla oraz aluminium. Z kolei w gmachach sądów na ul. Ogrodowej inż. Józef Michałowski „Trzaska” (przed wojną zatrudniony w Kierownictwie Zaopatrzenia Uzbrojenia Ministerstwa Spraw Wojskowych) rozpoczął produkcję wypełnianych trotylem granatów typu „Sidelówka” oraz butelek zapalających. W tym miejscu stacjonowało



MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Konspiracyjne granaty zaczepne: R-42 „Sidelówka” i ET-40 „Filipinka”

zgrupowanie „Leśnik” dowodzone przez płk. Jana Szypowskiego.

Z kolei na terenie warszawskiej Starówki funkcjonowało pięć ośrodków produkcji specjalizujących się w granatach i butelkach zapalających, pod kierownictwem kpt. Marka (przed wojną pracownika przemysłu zbrojeniowego). Produkowano tam różne typy granatów szturmowych, m.in. „Filipinki” z zapalnikami tarciovymi, a także prymitywne „Sidelówki”, „Karbidówki” oraz „Siekacze”.

Spśród produkowanych w powstańczych warsztatach granatów wyróżniały się przede wszystkim „Filipinki” (ET-40) – ręczne granaty zaczepne zaprojektowane przez Edwarda Tymoszaka, produkowane w Warszawie do 1944 r. i znane również pod nazwami „Wańka” lub „Perelka”. Ich korpus początkowo wykonany był z ebonitu, a później ze stalowej blachy, a granaty te charakteryzowały się niezłą skutecznością i były najliczniej wytwarzanym typem. Łącznie powstało ich około 240 tys. sztuk. Innym powszechnym granatem były „Sidelówki” (R-42), skonstruowane przez Władysława Pankowskiego, z metalowym korpusem przypominającym puszkę od środka do czyszczenia metalu „Sidel”. Produkowano je w kilku ośrodkach konspiracyjnych – m.in. w Warszawie, Kielcach i Krakowie – w sumie powstało ich około 350 tys. sztuk. Granat ten wypełniano materiałem wybuchowym zwanym szedyt.

Inne typy granatów obejmowały „Karbidówki” – granaty zaczepne o korpusie wykonanym z metalowej puszkii lampy karbidowej, wypełnionej szedytem, ze stalowym zapalnikiem tarciovym. Produkowane były przez różne organizacje konspiracyjne, w tym także Bataliony Chłopskie, i cechowały się prostą konstrukcją umożliwiającą szerokie rozpowszechnienie.

W produkcji powstańczych granatów wykorzystywano również zapalniki tarciove, takie jak popularny zapalnik P-42 stosowany m.in. w „Sidelówkach”. Całość produkcji obejmowała też inne prymitywne konstrukcje granatów i butelek zapalających, nie zawsze szeroko udokumentowane, lecz stanowiące istotne wsparcie w partyzanckich walkach miejskich.

Dodajmy, że zapalnik tarciovy to mechanizm inicjujący wybuch granatu poprzez siłę tarcia. Całość działała w ten sposób, że żołnierz pociągał za sznurek (linę), powodując tarcie o materiał pirotechniczny (podobnie jak przy zapalaniu zapalki), który zapalał się, po czym płomień przechodził przez opóźniacz czasowy (dla zapalnika P-42 było to ok. 4,5 sekundy), co sprawiało, że główny ładunek wybuchowy zapalał się po odmierzonej czasie.

Wyrzutnie i broń przeciwpancerna

Powstańcza produkcja nie ograniczała się wyłącznie do granatów; wytwarzano również granatniki i miotacze ognia. Na przykład w walkach na ulicach Myśliwskiej i Frascati używano granatnika opracowanego przez inżyniera Władysława Kreglewskiego oraz porucznika Jerzego Szustera „Tura”. Urządzenie to wykonano z rur kotłowych i zaprojektowano do strzelania płaskorodnego (czyli wyrzeliwania pocisków niemal poziomo, na stosunkowo dużą odległość), pociskami o wadze ok. 1,2 kg. Granatnik był aktywnie wykorzystywany w walkach i okazał się dość skuteczny jak na powstańcze warunki. 16 września jego efektywność potwierdził porucznik Jerzy Szuster „Tur”, który dwoma pociskami z takiego granatnika podpalił niemiecki czołg „Pantera” z odległości ok. 100 m.

Ciekawym przypadkiem jest także produkcja granatników przeciwpancernych typu Panzerschreck w pułku „Baszta” na Mokotowie. Już 2 sierpnia powstańcy zdobyli ok. 180 odpowiednich pocisków. Tydzień później w ręce akowców wpadł niemiecki ruchomy warsztat rusznikarski, w którym znajdował się uszkodzony egzemplarz granatnika Panzerschreck. Na jego podstawie rozpoczęto prace nad wytworzeniem kilkunastu sztuk tej broni, co stanowiło rzadki przykład produkcji przeciwpancernych środków ogniowych w warunkach powstańczych.

Panzerschreck był niemieckim granatnikiem przeciwpancernym, zaprojektowanym do zwalczania czołgów i pojazdów opancerzonych. Jego największą zaletą dla powstańców była możliwość skutecznego rażenia ciężko opancerzonych celów z relatywnie bezpiecznej odległości, co dawało im realną szansę walki z przeważającymi siłami niemieckimi. Granatnik ten był prosty w obsłudze i zapewniał znacznie większą siłę rażenia niż standardowe ręczne granaty przeciwpancerne czy powstańcze konstrukcje, co czyniło go bardzo cennym elementem uzbrojenia powstańców.

Dodatkowo warto zwrócić uwagę na unikalny przykład produkcji działek bezodrzutowych w fabryce dźwięgów inżyniera Jana Groniowskiego przy ul. Hożej. Zakład, który pierwotnie zajmował się produkcją urządzeń dźwięgowych, został przystosowany do potrzeb wojennych

i funkcjonował jako warsztat zbrojeniowy Armii Krajowej. W warunkach powstańczych, na przełomie sierpnia i września 1944 r., wyprodukowano tu cztery ręcznie wykonane działka bezodrzutowe o kalibrze ok. 75 mm. Broń ta, obsługiwana przez 2–3 żołnierzy, wykorzystywała uproszczone pociski kumulacyjne, których ok. 200 również wykonano na miejscu – dzięki materiałom pochodzącym z odzyskanych niemieckich niewybuchów oraz z produkcji konspiracyjnej. Choć opisane działka bezodrzutowe nie dorównywały zasięgiem i siłą rażenia fabrycznej broni przeciwpancernej, stanowiły cenne wsparcie w miejskich walkach, zwłaszcza przy niszczeniu niemieckich punktów oporu takich jak bunkry i posterunki ukryte w ruinach. Ich niewielka masa i prosta obsługa umożliwiała transport i szybkie rozmieszczenie w ciasnej zabudowie Śródmieścia.

Powstańcze improwizowane miotacze butelek zapalających

Równocześnie z produkcją uzbrojenia „przeciwpancernego” w kilku miejscach produkowano wyrzutnie oraz katapulty do butelek zapalających wypełnionych benzyną, wykorzystując m.in. resory samochodowe jako element konstrukcyjny. Powstawanie

w warunkach ograniczonych zasobów. Poza opisanymi powyżej konstrukcjami w warsztacie przy Alejach Jerozolimskich opracowano także miotacze typu moździerzowego, w których butelka zapalająca wyrzucana była za pomocą napiętej sprężyny. Wykorzystywane miały być też improwizowane wyrzutnie zbudowane bezpośrednio na wzór zwykłej kuszy. Niestety, brak jest informacji na temat szczegółów konstrukcyjnych tych powstańczych „miotaczy ognia”.

” Wśród produkowanej broni szczególne miejsce zajmował pistolet maszynowy „Błyskawica” – oryginalna konstrukcja inżynierów Seweryna Wielaniera i Wacława Zawrotnego



Montownia pistoletów maszynowych „Błyskawica” w kamienicy Lewenfisza przy pl. Napoleona 1



„Kubuś” – wóz pancerny konstrukcji polskiej – w czasie powstania

Powstańczy wóz pancerny „Kubuś”

Podczas Powstania Warszawskiego powstańcy, mimo skrajnie ograniczonych zasobów, zdołali zdobyć i wykorzystać kilka niemieckich pojazdów bojowych oraz skonstruować własne improwizowane środki walki pancernej. Ważnym sukcesem było przejęcie niszczyciela czołgów „Hetzer”, który po remoncie w warsztatach pocztowych otrzymał nazwę „Chwat”. Zdobyto również transportery opancerzone Sd.Kfz 251, z których jeden znany był jako „Jaś” (a później „Szary Wilk”) i wykorzystywany w walkach na Powiślu. Powstańcy natrafili także na niemiecki, zdalnie sterowany pojazd-minę „Borgward IV”, który w trakcie akcji na ulicy Kielińskiego eksplodował, powodując tragiczne straty po stronie powstańców i okolicznych mieszkańców. Największą zdobyczą powstańców były dwa czołgi PzKpfw V Panther zdobyte

2 sierpnia na Woli. Wozy te pod nazwą „Magda” i „WP” miały następnie wejść w skład plutonu Pancernego baonu „Zośka”.

Niezwykłym przykładem powstańczej inwencji i „produkcji zbrojeniowej” pozostaje wóz pancerny „Kubuś” – zbudowany przez członków zgrupowania „Krybar”. Inicjatywa ta powstała z potrzeby wsparcia ataku na niemieckie pozycje na Uniwersytecie Warszawskim. Konstrukcja opierała się na ciężarówce Chevrolet 157 – trzytonowym amerykańskim aucie dostawczym. Budowy dokonano w warsztatach przy ul. Tamka, gdzie spawano stalowe płyty podwozia i korpusu, montowano szczeliny strzelnicze oraz improwizowaną wieżyczkę – wszystko w ciągu zaledwie kilkunastu dni. „Kubuś” wziął udział w natarciach na Uniwersytet i walkach na ulicy Okólnik. Po wycofaniu się Grupy „Krybar” z Powiśla 6 września, pojazd został ukryty i pozostawiony na Okólniku aż do końca walk.

Warszawskie pistolety maszynowe

Podczas powstania udało się ukończyć produkcję partii 84 pistoletów maszynowych, co stanowiło znaczący wkład w uzbrojenie powstańców. Produkcja pistoletów maszynowych oraz ich elementów prowadzona była w latach 1940–1944 w wielu ośrodkach i warsztatach na terenie Warszawy. Montaż pistoletów „Błyskawica” odbywał się przy Placu Grzybowskim 3/5, natomiast polskie wersje brytyjskiego pistoletu „Sten” produkowano w kilku miejscach: w zakładzie Konrada Jarnuszkiewicza przy ul. Grzybowskiej 25, warsztatach przy ul. Przyokopowej 27 i na Zamku Królewskim. Oprócz tego lufy i montaż do „Stenów” wykonywano w warsztacie przy ul. Leszno, a zestawy części przygotowywano m.in. w firmie Widan przy ul. Brukowej na Pradze oraz w warsztatach plutonu 686 na Grochowie. Ta sieć rozproszonych miejsc produkcji była kluczowa dla ukrycia działań konspiracyjnych i skutecznej produkcji broni w warunkach okupacji.

Wśród produkowanej broni szczególne miejsce zajmował pistolet maszynowy „Błyskawica” – oryginalna konstrukcja inżynierów Seweryna Wielaniera i Wacława Zawrotnego. Produkcję rozpoczęto w 1943 r., wytwarzając ok. 100 egzemplarzy tej broni. „Błyskawica” była wzorowana na angielskim pistolecie „Sten Mk II”, lecz posiadała istotne różnice konstrukcyjne – była składana na kolbę, co umożliwiało wygodne przenoszenie jej pod ubraniem w warunkach konspiracyjnych. Była też dwukrotnie lżejsza od wersji brytyjskiej, a magazynek o pojemności 32 naboju osadzony był od dołu; kaliber broni wynosił 9 mm. „Błyskawica” mogła prowadzić zarówno ogień ciągły, jak i pojedynczy.

Z kolei „Sten” był prostym brytyjskim pistoletem maszynowym szeroko stosowanym podczas II wojny światowej. W warunkach konspiracyjnych polskie podziemne warsztaty podjęły się produkcji jego replik oraz elementów do nich. „Steny” montowano również w wielu warsztatach rozsiansych po Warszawie.

Imponujący dorobek polskiej „podziemnej zbrojeniówki”

Taka wieloaspektowa produkcja własna, w niezwykle trudnych warunkach, stanowiła ważny element zaopatrzenia powstańców, pozwalając utrzymać efektywność działań bojowych mimo ograniczonych zasobów.

Imponujący był także całkowity dorobek konspiracyjnego „przemysłu zbrojeniowego”. Trzeba podkreślić, że w trudnych i niebezpiecznych warunkach konspiracyjnych polski ruch oporu stworzył wyjątkowy system produkcji broni i sprzętu, który mimo ograniczonych zasobów i stałego zagrożenia wykazał ogromną skuteczność. W licznych warsztatach, laboratoriach i komórkach produkcyjnych pracowali specjaliści, inżynierowie oraz technicy, którzy wyprodukowali ok. 400 tys. granatów różnego typu, ponad 2 500 pistoletów maszynowych, cztery rodzaje bomb czasowych oraz kilkanaście zapalników do granatów, min i pocisków. Powstały również projekty min kolejowych, cztery typy bomb termicznych i dwie wersje zapalarek elektrycznych. Kluczową rolę odegrała produkcja materiałów wybuchowych, w tym ok. 70 ton szedytu, a także ok. 800 miotaczy ognia i dziesiątek tysięcy butelek zapalających. Poza tym ruch oporu wyposażył się w zaawansowany sprzęt łączności obejmujący: 130 nadajników, ok. 720 odbiorników oraz 62 radiostacje, a także wiele innych urządzeń do działań dywersyjnych i sabotażowych.

Ten imponujący dorobek świadczy o niezwykłej mobilizacji i pomysłowości Polaków walczących z niemieckim okupantem. Pomimo nieustannego niebezpieczeństwa oraz ciągłego ryzyka „wpadki” produkcja konspiracyjna stała się jednym z filarów oporu i w wielu przypadkach ważniejszym źródłem zaopatrzenia niż alianckie zrzućty. /

ROZMOWA

Panie poruczniku, jest pan jednym z najmłodszych powstańców warszawskich, gdyż stanął pan do walki o stolicę w wieku zaledwie 15 lat. Jakie wartości i wzorce kształtowały w nastoletnim człowieku gotowość do ryzykowania życia za ojczyznę?

Byłem wychowywany w domu, w którym takie wartości, jak honor, wolność i wierność ojczyźnie, były szczególnie pielęgnowane i cenione. Gdy wybuchła wojna, ojciec bez wahania zgłosił się na ochotnika do jednostki wojskowej. W rezultacie zostałem w domu sam z matką, gdyż nie miałem rodzeństwa. To były bardzo trudne chwile, bo nie wiedzieliśmy, co dzieje się z ojcem i czy on jeszcze żyje. Na szczęście wrócił do nas cały i zdrowy miesiąc po zakończeniu kampanii wrześniowej. Rozpoczęła się długa, ciemna, pełna niedostatku, cierpień i walki o przetrwanie noc okupacji.

Nic dziwnego zatem, że w obliczu tak bolesnych doświadczeń zapragnął pan przyłączyć się do walki z wrogiem. Jak zaczęła się pańska działalność na tym polu?

Jak już wspominałem, ciężkie warunki materialne zmusiły mnie do podjęcia pracy już w wieku 14 lat. Ponadto zatrudnienie pomagało uniknąć wywiezienia na roboty do Niemiec. Nowe zajęcie musiałem połączyć z nauką w szkole zawodowej i na tajnych kompletach. Pracę podjąłem w warsztatach motocyklowych w firmie pana inżyniera Czesława Sitarza, ps. Iskra. Przykro mi o tym mówić, ale częścią moich obowiązków było tam naprawianie frontowych motocykli. Przyznaję jednak, że praca przy motocyklach sprawiała mi dużo satysfakcji i zostałem nawet instruktorem jazdy. Mniej więcej w tym samym czasie zaczęła się także moja działalność konspiracyjna. Od 1943 r. należałem do podległej Armii Krajowej młodzieżowej organizacji „Orleń”, kultuwującej tradycyjne wartości i nawiązującej do bohaterskich czynów Orłów Lwowskich z lat 1918–1920. Potocznie nazywaliśmy siebie „Orlakami”. Tam złożyłem swoją pierwszą przysięgę i przyjąłem pseudonim „Orzeł”. Kolejna moja przysięga została już złożona w Batalionie „Kiliński”. Uczyliśmy się musztry, a za karabiny służyły nam zwykłe kije. Ćwiczyliśmy w różnych warunkach: zarówno na leśnych polanach, jak i w naszych prywatnych mieszkaniach. Naturalnie, ze względów bezpieczeństwa, za każdym razem u kogoś innego.

Do powstania przystąpiliście już jako 7. Kompania Motorowa „Iskra”. Jak zapamiętał pan moment jego wybuchu? Czy spodziewaliście się, że ta chwila nadejdzie?

Tak, oczywiście. Przecież cały wysiłek i zapal, które wkładaliśmy w przygotowanie do walki jako regularne wojsko, brały się właśnie z myśli o przyszłej otwartej konfrontacji z Niemcami. Wszyscy wierzyliśmy w sens i potrzebę tego zrywu. Kiedy 1 sierpnia dowódca naszej kompanii inżynier Sitarz „Iskra” wydał rozkaz udania się na zbiórkę, natychmiast zawiadomiłem o tym innych kolegów i razem ruszyliśmy na miejsce spotkania. Być może dobrze się złożyło, że mamy nie było wówczas w domu, bo to byłoby dla niej bardzo silne przeżycie. Ojciec pożegnał mnie żołnierskim uściskiem dłoni. Sam był w konspiracji, doskonale więc rozumiał moją decyzję. Wierzyliśmy wówczas, że nie rozstajemy się na długo i że powstanie potrwa maksymalnie kilka dni.

Jakie wydarzenie z powstania najbardziej utkwiło panu w pamięci?

Pierwsze wstrząsające dla mnie zdarzenie miało miejsce, gdy nasza kompania szycowała się do zdobywania Pawiaka. Musieliśmy przejść przez ruiny getta. Od strony Leszna był bardzo intensywny ostrzał prowadzony z wieży kościoła. Nie przewidzieliśmy, że będzie aż tak silny. Padł rozkaz, aby skryć się za murem i czekać na dalsze komendy. W pewnym momencie poczułem, że kolega Bogdan bezwładnie się na mnie opiera. Zobaczyłem, że z krtani cieknie mu krew. Padł ofiarą „gołębiarza”. Był to pierwszy zabity na moich oczach człowiek – w dodatku już w pierwszym dniu powstania.

Drugie niezwykle ciężkie przeżycie jest już związane z moją osobą. Miało to miejsce przy Poczcie Głównej na placu Napoleona. Gmach ten został odbity przez Batalion „Kiliński” i już do końca walk pozostawał w rękach Polaków. Zdobyliśmy tam duże zapasy broni,

amunicji i żywności. Niestety, Niemcy nie odpuszczali i prowadzili nieustanne bombardowania tego obiektu. W wyniku jednego z nich zostałem przysypany gruzami. W tym czasie rozpoczął się straszliwy ostrzał, podczas którego zginęli wszyscy moi koledzy, którzy pozostali na powierzchni. Ja przeżyłem tylko dzięki temu, że leżałem zasłonięty stertą gruzów. To cud, że nie zostałem wówczas nawet ranny. Budynek poczty uległ całkowitemu zniszczeniu, a wraz z nim cały sprzęt motoryzacyjny naszej kompanii składowany na tyłach poczty. Było to dla mnie tym bardziej przykre, że to ja byłem za niego odpowiedzialny.

Wasza kompania była przecież kompanią motorową. Jakie były więc jej dalsze losy, gdy tak kluczowy asortyment uległ całkowitemu zniszczeniu?

Rzeczywiście – był to koniec kompanii motorowej. Po opuszczeniu poczty wycofaliśmy się na ulicę Sienną, gdzie wskutek tragicznego nalotu zginęło

Zdobycie PAST-y 20 sierpnia 1944 r. było bez wątpienia jednym z największych sukcesów militarnych Powstania Warszawskiego. Czy miał pan w nim swój udział?

Owszem, nosilem w kanistrach benzynę z placu Napoleona dla atakujących powstańców. Takie zadanie też niewątpliwie niosło ze sobą wielkie ryzyko, ale nie można go porównać z poświęceniem zdobywców PAST-y.

Jakie były pana zadania, gdy znajdowaliście się już w budynku PAST-y?

Pocucie bezpieczeństwa, o którym wspominałem, nie było całkowicie uzasadnione. Nadal przecież dostawaliśmy różne odpowiedzialne i niebezpieczne zadania. Pełniliśmy posterunki na okolicznych ulicach, chodziliśmy po zaopatrzenie i wodę. Niemal codziennie braliśmy także udział w akcjach



MAU

Motocyklem na barykady

Por. Romuald Malinowski (1929–2023), żołnierz Batalionu AK „Kiliński”, w 2019 r. udzielił nam wywiadu. Rozmowę przytaczamy w całości.

ZOFIA BRZEZIŃSKA

ratunkowych i odgrzebywaliśmy zasypanych, gdyż Niemcy prowadzili nieustanny ostrzał z granatników i dział. Najbardziej zabójcze były „Berty”, olbrzymie, ważące tonę pociski. Jeden z nich trafił w budynek przyległy do PAST-y, zniszczył wszystkie stropy, ale na szczęście nie wybuchł. To w budynku PAST-y 29 sierpnia dotarła do nas radosna informacja z radiostacji „Błyskawica”, że rządy Wielkiej Brytanii

i USA uznały powstańców za regularne siły zbrojne, których żołnierzy obejmuje konwencja genewska. Teoretycznie oznaczało to, że Niemcy nie mają już prawa traktować nas jak „bandytów” i mordować jeńców. Niestety, w praktyce jednak nadal różnie to wyglądało.

Czy miał pan wtedy jakiegokolwiek kontakt z rodzicami?

Wysłałem im kartkę przez Harcerską Poczta Polową, ale niestety do nich nie dotarła. Wiedziałem, że nadal przebywają na Żoliborzu, a była to jedna z ostatnich broniących się wciąż dzielnic. Miałem więc nadzieję, że tam przetrwają. Niestety, Niemcy zaczęli bombardować też Żoliborz. Wyszedłem wtedy na dach PAST-y i, nie zważając na świszczące wokół pociski kanonady artyleryjskiej, ze ściśniętym sercem patrzyłem na pikujące nad Żoliborzem sztukasy. Powiedziałem wtedy sam do siebie: „No, może rodzice ocaleją, ale nie wiadomo”.

Żoliborz był jedną z ostatnich dzielnic, które skapitulowały. Doszło do tego 30 września, a więc koniec powstania był już bardzo blisko. Czy zdawaliście sobie wówczas z tego sprawę? Jakie nastroje panowały wśród walczących?

Nie zastanawialiśmy się wtedy nad tym. Byliśmy całkowicie pochłonięci swoimi obowiązkami i pełnieniem wart. Ogromne wrażenie zrobił na nas jednak moment zawieszenia broni, kiedy toczyły się rozmowy o kapitulacji, ponieważ po raz pierwszy od długich tygodni zapanowała cisza. To było niesamowite. Oczywiście, Niemcy „odbili to sobie” w ten sposób, że natychmiast po zakończeniu zawieszenia broni skoncentrowali na nas chyba najbardziej intensywny od rozpoczęcia walk ogień. Był to jednak już jeden z ostatnich ich ataków. Wkrótce nadszedł smutny moment ostatecznej kapitulacji. Zostaliśmy wyprowadzeni i zmuszeni do złożenia broni.

Jakie były pana losy po kapitulacji?

Po krótkiej tułaczce po obozach jenieckich wyładowałem ostatecznie w obozie Ziegenhain. Był to dawny obóz szkoleniowy Hitlerjugend. Pracowaliśmy tam ciężko przy wyrębie lasu. Niemcom palił się już grunt pod nogami, bo zbliżali się Amerykanie. Postanowili ewakuować nas na wschód. Pewnej nocy zamknęli nas w stodole. Mieliliśmy jak najgorsze przecucia, tym bardziej że podśluchaliśmy, jak jeden z Niemców powiedział do naszego strażnika: „Załatw ich, po co mają zajmować tyle miejsca?”. Wykorzystaliśmy moment, gdy wachman oddalił się na chwilę, wyważyliśmy ścianę stodoły i uciekliśmy do lasu. Tam spotkaliśmy Amerykanów, którzy nakarmili nas i otoczyli opieką. To było wielkie szczęście.

To jednak nie był jeszcze koniec pańskiej walki.

To prawda. Po powstaniu jeszcze bardziej pragnąłem przyczynić się do ostatecznej klęski hitlerowców. Podczas pobytu w ponemieckich koszarach w Darmstadt, gdzie umieścili nas Amerykanie, nawiązałem kontakt z Armią Andersa. Musiałem posłużyć się przy tym małym kłamstwem, ponieważ przyjmowali tam chłopaków z rocznika 1927, a ja urodziłem się w 1929 r. Zabrali nas do Włoch. Tam przydzielony zostałem do 6. Pułku Pancernego Dzieci Lwowskich, gdzie po odbyciu kursie pełniłem funkcję kierowcy czołgowego. Po demobilizacji trafiłem do Anglii, do Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia. I tam dopiero dotarła do mnie radosna wiadomość, że moi rodzice żyją! Dostałem od nich kartkę o treści „Dom ocalał, my żyjemy, nauka otwarta dla wszystkich”. Po latach młodości zabranych przez wojnę miałem wielkie zaległości. Od matki mojego kolegi rodzice dowiedzieli się, że żyję, ponieważ po upadku powstania byli przekonani, że zginąłem w bombardowaniu na ulicy Marszałkowskiej. W 1947 r. wróciłem do Polski. Po raz kolejny dopisało mi szczęście, ponieważ w przeciwnieństwie do wielu towarzyszy broni nie doświadczyłem prześladowań z tytułu przynależności do AK i Armii Andersa. Zacząłem pracować w fotoserwisie „Aqpol” i powoli wracałem do normalnego życia.

Firmy sięgają po inte
ają komentarze oparte
iedzy. **Instytucje** szuka
ują decyzje na podstaw
telnych analiz. Szukają
Organizacje budują
gospodarkę globalnie.
ow. Dlatego **wybierają**
„Rzeczpospolitą”

KWARTALNIK JUŻ W SPRZEDAŻY

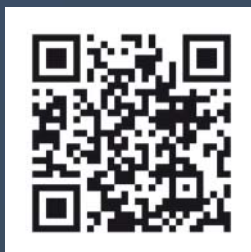
Temat numeru:

250 LAT NIEPODLEGŁOŚCI USA

- Ojciec narodu amerykańskiego: Jerzy Waszyngton
- Wojna, która rozdarła Amerykę
- Przypadkowa kula



HISTORIA.RP.PL
HISTORIA
UWAŻAM RZECZPOSPOLITA



Szukaj w punktach sprzedaży lub na sklep.rp.pl